

DUNAJEC

TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 8 ROK I

Nowy Sącz, 7 grudnia 1980

Cena 4 zł



Fot.: WŁADYSŁAW WERNER

DZIŚ W NUMERZE:

- „Wszędzie uczą demokracji. Uczniów nie ma — sami nauczyciele” — str. 3
- O budowaniu i dzieleniu mieszkań w Nowym Sączu pisze **BEATA DEMBOWSKA**; o gorlickich bolączkach — **JERZY LEŚNIAK**. Natomiast **STANISŁAW ŚMIERCIAK** wsłuchuje się w chlopską prawdę.
- Stałe felietony **ADAMA GARBICZA**, **ADAMA OGORZAŁKA** i **ZBIGNIEWA SIATKOWSKIEGO**. Kolejny list **PIOTRA NOWAKA** z Nowego Targu.
- „Jaja w gnieździe przetrzymane to są jaja zmarnowane” czyli „Prosto od krowy” — **ANTONIEGO KROHA**.
- Jak zwykle listy Czytelników, krzyżówka, humor, bajka i program naszej ukochanej telewizji.

Otrzymał pomieszczenia w „Domu Robotniczym” przy ulicy Zygmuntowskiej 19. Część wyposażenia przydzielił im Prezydent Miasta, część — kolej, która zarządza budynkiem. Z chwilą wprowadzenia się — 17 października — dysponowali jednym telefonem: po niedzieli dostali drugi. Bardziej się przydał. Mówią, że wiele mają do zrobienia.

Ich skromna tabliczka **NIEZALEŻNY SAMORZĄDNY ZWIĄZEK ZAWODOWY „SOLIDARNOŚĆ” — KOMITET KOORDYNACYJNY W NOWYM SĄCZU** trochę ginie na frontonie domu wśród fotosów mieszczącego się tu kina oraz innych tablic — kół i organizacji kolejarских. Na klatce schodowej królują afisze imprez rozrywkowych: „Wesoły jubileusz” z Ianką Bielicką, występ cygańskiego zespołu „Terno” z Papuszą... Trudno trafić do pokoju na I piętrze, w którym niewiele miejsca pomiędzy czterema biurkami i trzema szafami. Dobrze, że przynajmniej wysoko do sufitu, pokrytego potężnymi zaciekami.

Na całej długości ściany czołowej wisi biało-czerwona flaga; na niej godło państwowego i krzyż. Na jednej ze ścian bocznych fotografia Jana Pawła II, ujętego w gestie błogosławieństwa; na drugiej kserograficzna odbitka administracyjnej mapy województwa. Na szafach plakaty: „**PRAWDA — GÓDNOŚĆ — RÓWNOŚĆ**” i „**SOLIDARNOŚĆ DZIŚ — SUKCES JU'TRO**”, odczytanie o treści tabliczki pamiątkowej ku czci poległych w roku 1970 straconiowców, komunikat Sekcji Nauczycielskiej, że poszukiwani są korespondenci terenowi gazety pracowników oświaty, zakładanej w Warszawie. Wisi też plan dnia. Jest poniedziałek, 24 listopada, mają obowiązywać: założycielskie zebrania — nauczycieli z Gorlic, pracowników Państwowego Domu Opieki Społecznej w Zawadzie i pracowników Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej (to ostatnie odbywa się dopiero teraz, bo poprzednio ukonstytuowanie się „Solidarności” w WSM było — jak twierdzą — torpedowane). Oprócz tego wysyłają delegatów na zebranie organizacyjne Gminnej Spółdzielni w Łososinie Dolnej, które odbywa się w restauracji w Tęgołozę. W sali obok trwa od 13.00 do 14.15 zebranie przedstawicieli „Solidarności” ze spółdzielni

rozmowach telefonicznych głos pani Kochańska brzmiał aż tak niecierpliwie.

Mówią, że wiele mają do zrobienia. Jak dotąd, zajmują się głównie budową związku. Przychodzi nauczycielka w sprawie rejestracji komitetu w swojej szkole. O to samo pytają dwaj pracownicy Wojewódzkie-

trznego na jedno ze spotkań przedstawicieli, pani Kochańska odbiera kolejne telefony: ktoś skarży się, że potrącają mu składki z listy płac, choć przez podpisanie deklaracji „Solidarności” zgłosił wystąpienie z poprzedniego związku; ktoś zgłasza, że dyrektor nie pozwala zrobić zebrania NSZZ; kilku dalszych rozmówców prosi o informacje organizacyjne.

Przed wyjazdem do Zawady wstępuje na chwilę Mieczysław Gorczyca, delegowany do Komitetu Koordynacyjnego z RPGK. Dowiaduje się, że jestem z „Dunajca”. „— Ach, panie, mówią, że tam u was nie ma nic do czytania...” Pytam, czy sam to sprawdził. „— Nie, ale mówił mi poważni ludzie.” „— Jacy?” „— A, z dwoma dyrektorami rozmawiałem, machnęli ręką, że tam tylko jakieś wiadomości sprzed trzech miesięcy, z szafy wygrzebano”.

Nie ma czasu na czytanie. Brakuje go na wiele innych rzeczy. Tyle do zrobienia! No, ale przecież głównie robią jeszcze ciągle nie to, co chcieli? Pochłania ich organizacja. Owszem, mają też sprawy interwencyjne. Niektóre są trudne i absorbujące: choćby konflikt w szkole mechanicznej w Gorlicach. Niektórych nie podejmują; przykładem sprawa dyrektora z Brzeznej, gdzie chodzi o zarzuty personalne. To kompetencje władz, które mają rozliczać ludzi z odpowiedzialności za kierownictwo. Są jednak takie przypadki, w których „Solidarność” działa z dobrym skutkiem: oto przedszkola zwróciły się z prośbą o pomoc w dowożeniu zaopatrzenia do stołówek. Złatwili. Wystarczyło pomyśleć, że przecież istnieją zakłady patronackie.

Już wieczór. W ich pokoju ciągle tłoczno. Wychodzę. W dużej sali obok jakiś odczyt TWP. W salce przed drzwiami wyjściowymi na korytarz klubowe rozgrywkowe brydżowe. Dopiero na parterze cisza: dzisiaj poniedziałek, kino niezynne. W inne dni także tu „Dom Robotniczy” tętni życiem.

Adam Garbicz

Dzień powszedni

„Spolem” z całego województwa, bardzo żywe: wysyłają animacje pomiędzy handlowcami a pracownikami gastronomii. W pokoju Komitetu obradują od 17.00 taksówkarze.

Ciągle zmieniają się nastroje. Raz jest gorączkowa krzątanina i napięcie, raz uporzędkowana praca i zmezczenie. Ale nie ma chwil gdy nie się dzieje. Ustawicznie pojawiają się nowi interesanci. Coraz więcej spraw, coraz więcej świadomości, jak trudno. W dodatku połowę członków Komitetu, w tym przewodniczącego, położyła właśnie grypa. Brakuje ich. Są kwadransy, że w pokoju pozostaje tylko pani Teresa Kochańska. Siedzi przy telefonie i maszynie do pisania; właściwie pisać może tylko jedną ręką, bo drugą wciąż zajęta słuchawką. Raz po raz odzywa się dzwonek aparatu. Teraz mniej się dziwie, że przy naszych

go Osrółka Kultury: wszyscy u nich zadeklarowali 19 listopada wstąpienie do „Solidarności”. Przyjechał Józef Mokrzycki z Korzennej. Przedstawiciele Zakładu Przetwórstwa WSP proszą o ordynaryjny wyborczą. Ktoś z Zarządu Budowy Dróg i Zieleni mówi o kłopotach z zarzutami niedemokratycznego przeprowadzenia u nich wyborów do komitetu. Tylko raz w tym potoku pojawiają się inni ludzie: starszy rolnik z żoną. Proszą o pomoc w zatargu z sołtysem. Ale oto znów kolejni działacze „Solidarności” w sprawie wyborów, Tadeusz Piasecki wyjaśnia zasady ich przeprowadzenia i szybko wychodzi na jedno z zebrania.

W czasie, gdy kilku ludzi z Komitetu kłopotczy się nad sformułowaniem i wystukaniem na maszynie zaświadczenia o członkostwie, po-



MAŁE ELEKTROWNIE

Według mego rozeznania każdy kraj o zdrowej gospodarce wykorzystuje jako źródła energii najtańszy lub najbardziej dostępny surowiec. W Polsce takim surowcem jest węgiel, o którym na łamach Pańskiego tygodnika dużo się pisze. Mimo względnie dobrej sytuacji surowcowej stan energetyczny kraju, tylko w zakresie energii energetycznej, wyraża się deficytem normy obliczanym na 300—200—3000 MW. Nasze województwo potrzebuje ok. 200 MW mocy na swoje dotychczasowe potrzeby, ale w planie wyłączeń tracimy 1/2—1/4 przyznanego limitu. Potrzeb w zakresie węgla w skali województwa nie znam, ale to na pewno też olbrzymie ilości ton, w których wydobywie, transport i zużycie wkłada się duże środki, a przy tym spaliny i popiół zaturują nam środowisko.

Na tle tego przydługiego wstępu chciałabym postawić tezę, że: w ciągu 1—2 lat aktywnego działania możemy jako województwo być samowystarczalne paliwowo-energetycznie, a nawet „eksportować” energię elektryczną.

Cóż może dokonać tego cudu? Najtańszy surowiec energetyczny naszego regionu, tj. energia strumyków, pot-

ków i rzek, a skoro „małe jest piękne”, to mogą tego dokonać małe elektrownie wodne. Z trzech typów jakie znam, tj. zaporowych, jazowych i przepływowych, interesują mnie dwa ostatnie ze względu na cenę i czas wykonania, a także ze względu na możliwość wykorzystania prostego koła wodnego w miejsce skomplikowanej turbiny wodnej do napędu generatorów niskobrotowych o różnych mocach (najlepiej 100 kW i więcej, choć i małe wchodzi w rachubę). Myślę, że w sumie można by wycisnąć ok. 500 MW z istniejących jazów i ocebrowanych potoków i rzek.

Można powiedzieć: utopia i topić pieniądze i surowce np. w gazociąg z Rabki do Zakopanego, ale można się też zastanowić.

Kto ma robić? Najlepszym gospodarzem byłoby Urzędy Gminne, ale mogą to być spółki rolników, ogrodników, Rejonowe Zakłady Energetyczne, zakłady przemysłowe i rolne, pojedynczy prywatni właściciele (za pomocą małych бригад remontowo-budowlanych).

Skąd brać pieniądze? Pieniądze potrzebne są w zasadzie tylko na pierwszą elektrownię, później sumy uzyskane za energię tworzyłyby fundusz budowy następnych (lub dla innych celów). Np. budujemy elektrownię przepływową o mocy 100 kW. Koszt budowy (koła i prądnicy) oceniam na 150 tys. zł (przykładowo). Elektrownia taka może praktycznie dostarczyć 2 tys. KWh energii dziennie, co daje (przy cenie KWh — 90 gr) 1800 zł dziennie — 54 tys. miesięcznie i ok. 600 tys. rocznie. Nawet przy cenie 45 gr za KWh to i tak się opłaca. Można zresztą zrobić opłaty dziennie i roczne. Te pierwszą inwestycję mogłyby podjąć osoby prawne wymienione w haśle „kto to ma robić”.

Korzyści wymienię w punktach:

1. Oszczędność węgla i energii elektrycznej dla kraju.
2. Niezaburzony rytm produkcji rolnej i przemysłowej.
3. Ociążenie transportu.
4. Ochrona środowiska.
5. Zaoszczędzenie ludzkich rąk do pracy i czasu na opalanie, załatwianie węgla itd. (przestawiając wszystko na energię elektryczną).
6. Poprawa warunków BHP.
7. Stały dopływ gotówki do Urzędu Gminy czy innego inwestora.

Korzystne byłoby upowszechnienie tego systemu w kraju i tu kolejna utopia: proszę sobie wyobrazić 49 × ok. 500 = 24 500 MW, a najważniejsze, że bez dużych inwestycji, rentownie i zdrowo. Są jeszcze problemy:

— Ja jako jednostka mam małą siłę przebiccia i możliwość technicznego dogrania problemu.

— Urząd Gminy będzie robił interes na prądzie elektrycznym, jeśli poczucie się gospodarzem terenu.

— Jeśli to zrobią osoby prywatne, to mogą zostać odpowiednio opodatkowane. (W Chochołowie podobno elektrownie przydomowe zostały „wykończone przez podatki”).

— Wydaje mi się, że nie ma producenta prądu wolnobrotowych.

— Trzeba przykładu (ów).

Aktualnie poszukuję prądnicy nisko

lub średnibrotowej o mocy powyżej 6 KW, celem zbudowania eksperymentalnej elektrowni wodnej z zastosowaniem koła wodnego. Może w Sądeckich Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego znalazłaby się wyzłomowana lub do okupienia prądnica wagonowa?

Prosząc o odpowiedź, czy nowosądecki tygodnik mógłby być rzecznikiem „energii dla wszystkich”, łączę wyrazy podziękowania za „Dunajec” oraz szacunku.

MAREK GOLIK

Zakopane

Pod znakiem



kroku
ku
sa

W połowie listopada br. Zarząd Główny Społecznego Komitetu Przeciwoalkoholowego wprowadza do sprzedaży w kioskach „Ruchu” w większych miastach znaczek przedstawiający stylizowany krokus, stanowiący symbol trzeźwości.

Badania nad obyczajami picia wykazały, że około 30 procent przypadków spożywania alkoholu wynika z bezpośredniego lub pośredniego nacisku środowiska. Wiadomo równocześnie, że oparcie się temu przymusowi jest bardzo trudne. Na przyjęciach, czy podobnych imprezach, alkohol nalewa się każdemu. Jeśli ktoś nie chce przyjąć poczęstunku, to na ogół musi się z tego

tłumaczyć, przy czym niejednokrotnie tłumaczenie takie jest odrzucane.

Istnieje więc społeczna konieczność znalezienia dróg i sposobów wyeliminowania obyczaju przymuszania do picia. Jeden ze sposobów osiągnięcia tego celu stanowi właśnie wprowadzenie wspomnianego znaczka.

Długo rozważano jak powinien wyglądać taki znaczek. Wizerunek przewróconego kieliszka z napisem „nie pij” itp. byłby zbyt obcesowy w wymowie i nie chciano by go nosić. Dlatego trzeba było sięgać po formę mniej jednoznaczną, symboliczną. Uznaliśmy, że ładny, estetyczny kwiat będzie chętnie noszony, wygląda przyjemnie i sam przez się jest osobą pasującą do każdego ubioru. Chodzi teraz o to, aby nadać mu określoną wymowę, podobnie jak to się stało z liściem klonu na samochodach.

Trzeba przede wszystkim poinformować społeczeństwo, że posiadacz znaczka ani nie należy częstować alkoholem, ani nie wolno zachęcać go do picia. Należy uświadomić wszystkim, że namawianie do kieliszka jest poważnym nietaktem, wyrazem braku kultury.

Byłoby bardzo pożądane aby do akcji propagowania znaczka włączyła się także redakcja tygodnika „Dunajec”. Wierzymy również, że tygodnik będzie się w inny sposób przez swoje publikacje przyczyniał do popularyzacji trzeźwości w naszym regionie.

KLUB A. A. „ZDROWIE”
Nowy Sącz

PIĄTEK: Raczili nas zachodni korespondenci rewelacjami o radykalizmie „Solidarności” w Jastrzębiu, którą rzekomo tylko Lech Wałęsa utrzymał w ryzach podczas październikowego wiecu. Aż tu bomba! W „Perspektywach” reportaży nacoznego świadka. Oto gdańszczanin mówi do mikrofonu: — Nie widzę tu wcale solidarności: W Krakowie fruwałem pod oblokami, ziemi nie dotknąłem, a tu bez entuzjazmu muszę chodzić piechotą.

Na taką mowę odkryźnikto: — Bo my chcemy, żeby pan nie fruwał, a chodził po ziemi.

I komentarz ludzi z Jastrzębia ponad trzy miliony członków w trzydziestu województwach: — Naszym zadaniem naprawdę trzeba każdego ściągnąć na ziemię, żeby zobaczył ludzi i poczuł grunt pod nogami... szczególnie razi to nas. Reprezentujemy czystą, robotniczą sprawę.

Drugi komentarz: — Ośrodki, które w pełni podporządkowały się polityce prowadzonej w Gdańsku, cieszą się jego poparciem moralnym i finansowym. Natomiast w Jastrzębiu pan Lech Wałęsa oświadczył: „Trzeba Was oczyścić” — i jest to na taśmie. Nic dziwnego, że z inspiracji nie wiadomo kogo idą potem w świat komentarze, przedstawiające Jastrzębie jako ośrodek radykalny, pracy nie wiadomo dlaczego do strajku generalnego, a jest



akurat odwrotnie... Ciekaw jestem, czy teraz nastąpi dementi z Gdańska!

SOBOTA: Wieczór pamięci Powstania Listopadowego w krakowskiej „Kuznicy”. Rzecz pomyślana przez Zbigniewa Siatkowskiego jako wielogłos poezji, muzyki, pieśni i mówionej publicystyki nazywa się „Naród jak lawa”. Mnie przypadło mówić o sztuce dziedziczenia.

Czy użytek, jaki robimy z dobrych i złych doświadczeń przeszłości, z polskich zwycięstw i klęsk jest dostateczny? Cóż ja wiedziałem o polskich Listopadach, Sycznich i Sierpniach, gdy wybuchł Październik? Emocjonalna solidarność z odwagą idących na Belweder, okrucy wiedzy o ich nieporadności, izolacji społecznej, jakiegoś echa rozdarć i dylematów politycznych... niewiele więcej.

Równażny zarzut wobec kuratorów dziedzictwa narodowego. Mają go wszakże prawo powtórzyć i nasi

zmiennicy w sztafecie pokoleń. Wciąż jesteśmy sknerami w udostępnianiu młodym dorobku przeszłości.

Żeby dziedziczyć trzeba wpiąć w spadek wiedzieć, a następnie wejść w jego użytkowanie.

Byłoby jednak przesadą twierdzić, że nic z Listopadowej Nocy, a także z innych dni i nocy, polskiego kalendarza nie wzięliśmy. Stawiliśmy się na pewno z doświadczenia w doświadczenie mądrzejsi, naznaczeni bliźniami, wierzący w siebie. Ale cena tego dojrzenia świadomości politycznej — byłała straszna. A ponadto każde pokolenie od nowa i uparcie na swój rachunek chce wejść w dorosłość. Czy tak musi być nadal?

NIEDZIELA: Rzecznik prasowy „Solidarności”, (pracownik naukowy z Wrocławia, Karol Modzelewski) na pytanie Jacka Maziarzkiego dotyczące temperamentu Polaków odpowiada: — W polskiej tradycji jest miejsce i na

romantyzm, i na realizm. Emocje, które ostatnio bywają wymieniane głównie w kontekstach wybitnie negatywnych, mogą być bardzo pożyteczną siłą napędową działania społecznego, o ile jest to działanie sterowane rozumem (...). Potrzebny jest nam obustronny realizm. Realizm polityczny wyrażający się w poznananiu podstawowych realiów ustrojowych i międzynarodowych, czego dowody dała „Solidarność”, byby niczym bez realizmu społecznego ze strony władz (...). Są jeszcze realia ekonomiczne. Nie da się ich uszanować i rozstrzygnąć bez realizmu politycznego i społecznego. Ja bym widział naszą szansę w zharmonizowaniu tych trzech elementów. Bez tego nasz rozwój będzie przebiegał metodą stałej przepychanki, od konfrontacji do konfrontacji.

Pytanie: — No i jak Pan widzi przyszłość?

Odpowiedź: — Wierzę, że zwycięży formuła dialogu, choć jest to słowo okropnie nadużywane. To nasza jedyna realna szansa...

PONIEDZIAŁEK: W Warszawie rozpoczęło się dwudniowe plenum KC Partii. Próba kolejnego przybliżenia ko prawdzie, przejścia od rozliczeń do działań wyprowadzających z kryzysu. Na pewno dyskusja o terminie Nadzwyczajnego Zjazdu. Wielkie nadzieje społeczeństwa i całej partii, że Komitet Centralny potwierdzi nieodwracalny charakter procesu przemian. Ze partia odnowy da nowe impulsy i nowe myśli. Jeż umocni się socjalistyczne oblicze posierpniowej Polski.

Zmiany kadrowe

Trudno przypuszczać, ażeby ludzie, którzy dotychczas nieudolnie zarządzali i kierowali krajem, dobrowolnie pozabawili się atrybutów władzy oraz przywilejów i korzyści, które z tego tytułu czerpali.

Z drugiej strony postęp w demokrytyzacji życia wewnętrznego kraju nie spowodował jeszcze istotnych zmian w składzie osobowym organów przedstawicielskich partyjnych i państwowych, które to zmiany byłoby gwarancją procesu odnowy kadr w państwie. Nie można bowiem za odnowę uważać w dalszym ciągu funkcjonującej „karuzeli stanowisk”, tzn. przechodzenia z jednego komitetu lub urzędu do drugiego, lub z urzędu na placówkę zagraniczną i odwrotnie — na podobne, eksponowane stanowisko. Uważam, że powyższe działania nie budują tak potrzebnego aktualnie zaufania społecznego do obecnego kierownictwa partyjnego i rządowego oraz do kierunków działania wypracowanych przez VI Plenum KC PZPR.

Po „wydarzeniach sierpniowych” obawiam się w naszym kraju coś w rodzaju nagonki na działaczy partyjnych i gospodarczych, a w wielu przedsiębiorstwach i instytucjach również na szeregowych członków partii. W nagonce tej utożsamia się winę poszczególnych działaczy odpowiedzialnych za obecny stan kraju z winą całej partii i całego aparatu administracyjnego.

Uważam, że tego rodzaju eskalacja winy jest nie tylko krzywdząca dla wielu uczciwych członków partii i działaczy, lecz również staje się hamulec postępowych przemian społeczno-gospodarczych w naszym kraju. Każdy człowiek, niezależnie od stanowiska jakie pełni lub pełnił, powinien odpowiadać jedynie za skutki wyniku z jego postępowania. Wyrażam wcześniej pogląd, że różne stanowiska są pełnione w dalszym ciągu przez ludzi odpowiedzialnych za obecny kryzys. Zastanawiam się, czy w świetle ogólnonarodowej dyskusji, również w środkach masowego przekazu, ludzie o których mowa, nie zdają sobie sprawy z własnej odpowiedzialności. Jeśli tak, to dlaczego sami nie odchodzą, tylko czekają aż społeczeństwo imienne go zażąda?

Wydaje się, że podstawową przyczyną powyższej sytuacji jest strach przed opinią społeczną. Obowiązujący przez lata w naszym kraju system zmian kadrowych odbiega daleko od tego, co w cywilizowanym świecie nazywa się kulturą współżycia między ludźmi. Dotychczas przeważało bywało tak, że pozbawieni stanowisk, o ile nie wzięto się to z awansem lub przejściem na emeryturę, traciли uznanie, szacunek i autorytet w bliższym i dalszym otoczeniu. Obawa przed utratą posiadanej pozycji w hierarchii społecznej oraz brak jasno sformułowanych perspektyw co do przyszłości są jednym z podstawowych czynników hamujących proces odnowy kadr. Moim zdaniem warto zastanowić się, w jaki sposób ludzie, którzy obecnie odchodzą z kierowniczych stanowisk, mogliby z największym pożytkiem włączyć się w pracę dla dobra kraju i społeczeństwa. Uważam, że w procesie odnowy kadr konieczne jest różnicowanie odpowiedzialności za udowodnione błędy i przestępstwa gospodarcze od odpowiedzialności za bierny, uległy stosunek wobec toczących się zdarzeń społeczno-gospodarczych. Nie oznacza to, że biernych postaw nie powinniśmy rozliczać — zwłaszcza dzisiaj. Czyżmy to jednak spokojnie i racjonalnie, a co jest również ważne — bez poniżania ludzkiej godności obojętnie czy dotyczy to sekretarza czy ministra dyrektora, kierownika lub szeregowego pracownika.

WOJCIECH FELBERG

międzyludzkich, troska o Innych, którym jest tak samo ciężko jak nam, wreszcie odwaga głoszenia własnych poglądów także wtedy, gdy nie są one popularne w otoczeniu.

Prawdziwą awangardą zmian są i okazać się ci, którzy najpełniej potrafią działać na rzecz stwarzania klimatu psychologicznego sprzyjającego konstruktywemu działaniu na rzecz procesu socjalistycznej demokracji. Gdy wyjdziemy już z nekającego nas kryzysu, gdy znajdziemy się na prostej i bezpiecznej drodze, oni będą mieli uzasadnione poczucie, że najwięcej przyczynili się do wyprowadzenia Polski ze stanu, który teraz budzi nie tylko gorzki żal, ale też obawy i poważne troski. Czy postuluję więc szczególną rolę awangard? — Tak — awangardę zrodzoną z dobrowolnego pospolitego ruszenia tych, którzy mają w sobie dość

Budowanie demokratycznych i samorządnych stosunków na gruncie socjalizmu odbywa się w walce politycznej i ideologicznej. Z jednej strony w walce z biurokratycznymi i doktrynerskimi oporami, z rutyną i obroną układów personalnych, z siłą inercji. Ale z drugiej strony, w walce z tendencjami anarchicznymi i awanturniczymi, stanowiącymi zagrożenie dla porządku prawnego, struktur państwowych, dla ustroju socjalistycznego.

To pierwsze znajduje wyraz w nieufności wobec nowych związków zawodowych i przemian w starych związkach, w skłonności do dyrgowania po staremu działaniami społecznymi, w powolności, z jaką realizowane są tu i ówdzie uchwały VI Plenum.

Drugie zagrożenie znajduje nie mniej wyraźną postać w demagogii roszczeń i oskarżeń, w szantażowaniu strajkiem,

TWARZĄ KU PRZYSZŁOŚCI

uporu i siły by przełamywać nastroje negacji i bierności, by tworzyć klimat śmiałego konstruktywnego działania.

JEZZY J. WIATR

Samorządność i partia

Najważniejszą z nowych tendencji społecznych jest dzisiaj szerokie, spontaniczne dążenie do samorządności. Uproszczeniem byłoby widzieć w tym dążeniu jedynie reakcję na biurokratyczne wypaczenia metod sprawowania władzy. W znacznie większym stopniu ta popularność idei samorządności stanowi konsekwencję zmian społecznych i kulturalnych, jakie nastąpiły w Polsce dzięki socjalizmowi w bazie materialnej oraz w poziomie wykształ-

w wymuszaniu zmian instytucjonalnych poprzez fakty dokonane, w podsyćaniu atmosfery napięcia społecznego.

Problemem kluczowym jest, jak sądzić, sam obszar życia społecznego, na którym przejawiać się powinna wiodąca rola partii, czyli innymi słowy, zasięg tych zjawisk społecznych, którym przypisuje się znaczenie polityczne i które stają się przedmiotem zainteresowania politycznego. W przeszłości znaczenie takie przypisywano zbyt szerokiemu obszarowi życia społecznego, prawie wszystkim formom zbiorowej aktywności — formalnym i nieformalnym. Powodowało to zubożenie wiedzy społecznej. Przemysłenie tej kwestii powinno doprowadzić do pozostawienia poza sferą polityczną wielu działań i inicjatyw społecznych.

Niezbędne jest wyprowadzenie wniosków z wieloświatowości naszego społeczeństwa, a także z współistnienia różnych nurtów i szkół w naszej nauce i kulturze. Realia te były w Polsce Ludowej w niemalym przeciwieństwie do zmian na stanowiskach decydenckich. Powodowało to w kołach intelektualnych poczucie niepewności i frustrację.

Najdalej idące zmiany są konieczne w metodach działania partii. Na czoło wysuwa się tu postulat realizacji polityki państwowej, przede wszystkim za pośrednictwem organów przedstawicielskich, przy ich aktywnym współudziale i w warunkach partnerskiej współpracy z sojusznikami stronnictwami, z bezpartyjnymi i kołami katolickimi. Przebudowa w tym kierunku życia politycznego już się rozpoczęła. Jest to jednak początek długotrwałego procesu, który wymaga przemyśleń teoretycznych i konsekwencji w działaniu.

W stosunkach między partią a organizacjami społecznymi konieczny jest powrót do tradycyjnej leninowskiej metody uzyskiwania wpływu partii poprzez nie krepowana organizacje, ale konsekwentną pod względem ideowym działalność i aktywność jej członków.

ANDRZEJ WERBLAN

Dziś, po wielę tygodniach wahnięć, zahamowań i nieporozumień — pisze Stefan Bratkowski — powierze ciągle jest naelektryzowane nieufnością i niepewnością; konfliktu nie zdążyły się rozładować.

Historia uczy — zauważa Jerzy Urban — że wolańcowa euforia są preludium, a ich skutki niestrawne, jeśli polityczne przemiany nie mają solidnej ekonomicznej bazy, jeśli nie wykorzystują silnego gospodarczego wzrostu, lecz powodują upadek produkcyjnych podstaw życia.

Gdziekolwiek spojrzeć — stwierdza Daniel Passent — wszędzie uczyć demokracji. Uczniów nie ma — sami nauczyciele.

Natomiast „Szpilki” dodają: — Cms tak, że uczyć się nie wstyd!

Każdy tydzień, każda niemal gazeta — przynoszą wciąż nowe myśli, z których powoli wylania się mniej rozgorączkowane i wreszcie ku przyszłości zwrócona refleksja obywatelska.

Nie każdy ma czas czytać wszystkiego, co przynosi polska prasa. Dlatego dokonujemy kolejnego przeglądu publicystyki na pasjonujące opinie publiczną tematy. Dziś wybór z „Życia Warszawy”.

Rola awangardy

Cechą przeżywanego przez Polskę kryzysu jest między innymi to, że do napięcia ekonomicznych i społeczno-politycznych dołączają się bardzo silne napięcia psychiczne, których skala musi budzić daleko posunięty niepokój.

Znamy najczęstszeprejawy tych napięć. Należy do nich ogólna nieufność do informacji „oficjalnej” połączona z podatnością na wszelkie, nawet najbardziej fantastyczne plotki. Należy do nich także znaczna nerwowość przejawiająca się w przesadnych obawach, agresywnych atakach nie tylko wobec osób winnych, przesadnej niecierpliwości w stawianiu żądań.

Sporóbujmy określić od czego zależy walczyć z kryzysu psychologicznego, odwołanie niezbędnej równowagi, zahartowanie woli zbiorowej.

Przede wszystkim od sukcesów w rozwiązywaniu społeczno-ekonomicznych i politycznych zadań procesu demokracji odnowy. To oczywiste. Krajowi potrzeba takiego sukcesu nie tylko po to, by nieco lepiej się żyło, lecz także po to, by szybciej otrząsnąć się z poczucia beznadziejności, z depresji, ze zniechęcenia. Rzecz jednak w tym, że sukcesu tego zapewne nie uzyskamy bez przełamania kryzysu psychologicznego, bez wyzwolenia energii i woli działania. I tu koło się zamyka. Czy jest wyjście z tego zamkniętego koła?

Wyjście musi się znaleźć, jeśli nie chcemy biernie patrzeć na tonięcie państwa. I wyjście jest. Tkwi ono w trzech sferach działań które muszą być podejmowane równolegle.

Pierwsza sfera to polityka władz na wszystkich szczeblach. Im jest ona bardziej konsekwentna w stawianiu problemów i znajdowaniu rozwiązań, tym bardziej sprzyja wychodzeniu z nastrojów beznadziejności, zniechęcenia czy paniki. Wielką rolę do odegrania mają tu kompleksowe programy zmian, szczególnie plan reformy gospodarczej. Reforma ta nie da od razu — bo dać nie może — rozwiązania wszystkich dręczących nas trudności, ale powinna stworzyć poczucie, że wiemy dokąd idziemy.

Drugą sferą jest propaganda i informacja. Wiele się tu zmieniło na lepsze, ale daleko do stanu, jaki mógłby i powinien być. Szczególnie potrzebne jest rzetelne i obiektywne pokazywanie tego, co się już robi i co już zrobiono dla polepszenia sytuacji. Z jednym oczywistym zastrzeżeniem — propaganda ta może być tylko o tyle skuteczna, o ile rzeczywiście trafna i skuteczna jest polityka, której propaganda ma służyć.

Sferą trzecią jest działanie nas samych, milionów obywateli. Najlepszą drogą przełamywania w sobie i w innych nastrojów zępienia i depresji jest pozytywne działanie. Cechy osobowościowe o szczególnej dziś cenie to wytrwałość i wola działania, rozumny ale bynajmniej nie ślepy optymizm, życzliwość wzajemna w stosunkach



cenia i świadomości społecznej. Ograniczenie demokracji w przyszłości sprawiło, że jej odrzucenie jest dzisiaj przybiera nieraz kontestacyjne zabarwienie. Otwarte i bez uprzedzeń wychodzenie na spotkanie tendencjom demokracji i samorządowym — zgodnie z linią VI Plenum KC — sprzyja przekształceniu ich w siłę konstruktywną, nieufność ułatwia manipulacje ze strony sił niechętnych i wrogich socjalizmowi.

SZKOŁA W TĘGOBORZU

Już ponad pół wieku temu, bo w roku 1923, na terenie działania Dyrekcji Kolejowej Okręgu Krakowskiego powstała Liga Obrony Powietrznej Polski, która za cel postawiła sobie popularyzowanie idei lotnictwa. Wagon, wyposażony w najnowocześniejsze wówczas pomoce naukowe z projektorem filmowym włącznie, przeniesiono w ruchomy ośrodek propagandy lotniczej.

Pierwszy podchwycił tę idee Nowy Sącz. Przy ówczesnych Warsztatach Kolejowych (dziś ZNTK) powstała Sekcja Lotnicza. Jej prezes, inżynier Henryk Błaszczyk, oraz inżynier Bronisław Skwarczyński — absolwenci Politechniki Lwowskiej, mieli dostęp do dokumentacji budowy szybowców inżyniera Czerwińskiego, a w Warsztatach Kolejowych spotkali człowieka, który znał zasady budowy i napraw samolotów, i miał wymagane uprawnienia. Ten człowiek — to Adam Bajdo, który w austriackich zakładach budowy hydroplanów uzyskał specjalność stolarza, monter a i demontera, a następnie tytuł mistrza.

W roku 1932 pod kierunkiem Adama Bajdo zostały w Warsztatach zbudowane pierwsze cztery szybowce i w sierpniu wspólnie z Kolejową Sekcją Lotniczą Aeroklubu Krakowskiego, zorganizowano wyprawę szybowcową na Winną Górę w Biegonicach pomiędzy Starym a Nowym Sączem.

Kierownikiem i instruktorem utworzonej na Winnej Górze szkoły szybowcowej został znany szybownik por. pilot Tadeusz Kurowski, odkomenderowany z Dęblińskiej Szkoły Lotniczej. Pod jego kierunkiem szkoliło się 53 adeptów sztuki latania, wśród nich Jerzy Iszkowski i Leopold Kwiatkowski, później pierwsi kierownicy Aeroklubu Podhalańskiego. Spośród tych 53 osób wyszkolono do kategorii A 39 pilotów, a pozostałych do kategorii B. Z tych pierwszych lotniczych dni Sąddeckim zachowało się w bogatych prywatnych zbiorach Adama Bajdo zdjęcie z września 1932 roku, przedstawiające grupę osób przy szybowcu.

Z ramienia centralnych władz lotnictwa opiekę nad sądeckimi szybownikami sprawował pułkownik Bolesław Stachon; był on częstym gościem na naszym terenie, wspierał szkołę nie tylko dobrą radą ale i konkretną pomocą (np. w załatwieniu dokumentacji szybowców inż. Antoniego Kocjana).

Nastąpił teraz okres wyteżonej pracy organizacyjnej i borykania się z trudnościami. Wreszcie, po rozlicznych staniach i zabiegach, w Tęgoborzu koło Nowego Sącza powstała Szkoła Szybowcowa LOPP. Po „oblataniu” terenu i zatwierdzeniu go przez Ministerstwo Komunikacji, zakupiono dla szkoły: samochód, 9 morgów gruntu, na którym wybudowano 2 oświetlone elektrycznie hangary dla 22 szybowców, mieszkania dla 40 osób przy dużym hangarze na górze Jodłowice oraz zorganizowano kasyno. Szkoła nosi nazwę „Tęgoborze”, ale dokładnym miejscem jej lokalizacji jest Rachów na Jodłowcu.

W roku 1933 instruktorami szkoły byli, oprócz Jerzego Iszkowskiego, Jan Skalski i Leopold Kwiatkowski; Iszkowski po tym sezonie powrócił do Dębli.

Uroczystość zakończenia roku szkoleniowego ściągnęła na Jodłowice tłumy ludzi. Sądeckie lotnictwo miało już wówczas licznych mecenasów. Wiele świadczyli na rzecz Koła Szybowcowego pracownicy Warsztatów Kolejowych, którzy odpatkowali się w większości, i to w niemalej na ówczesne czasy kwocie 5 złotych miesięcznie. Inżynier Mieczysław Stodolski ofiarował na budowę szybowców niebagatelną kwotę tysiąca złotych (szybowiec Wrona kosztował wówczas około 1500 zł); dla upamiętnienia tej darowizny jednemu z szybowców nadano imię „Stomiecz”. To społeczne, jakże konkretne wsparcie umożliwiło budowanie szybowców we własnym zakresie; co uzupełniało niezbyt liczne początkowo dostawy z przydziałów centralnych. Społeczny entuzjazm nie wygasł, dzięki czemu wzrastała ilość szybowców, zbudowano dwa kryte wozy do ich transportu, wykonano nową karoserię do samochodu. Do końca roku 1937 wartość majątku Szkoły przekroczyła 140 tysięcy złotych.

W roku 1937 Szkoła w Tęgoborzu czynna już była przez okres sześciu miesięcy, a sukcesy odnoszone przez jej

pilotów (m. in. 20 przewyższeń ponad 1000 metrów, 17 lotów trwających ponad 5 godzin oraz cztery przeloty ponad 50 km) stawały ją w rzędzie czołowych Szkół Szybowcowych w Polsce.

W Tęgoborzu szkolili się nie tylko polscy piloci. Latali tu harcerze węgierscy oraz piloci z Polonii brazylijskiej.

Do września 1939 roku w Tęgoborzu wyszkolono 1155 osób, w tym 20 instruktorów szybowcowych. Warto przy tym podkreślić, że jedynym stosowanym rodzajem wzlotów były wzloty z lin gumowych.

W momencie wybuchu wojny w hangarach Szkoły na Jodłowcu znajdowało się 33 szybowce, wśród nich — 14 zbudowanych w Nowym Sączu w Warsztatach Kolejowych.

Wojna przerwała działalność lotniczą. Adam Bajdo przechowuje do dziś przedwojenny regulamin pracy hali budowy szybowców, który niemiecki żołnierz czerwoną farbą przekreślił na krzyż mówiąc, że polskiego lotnictwa już nigdy nie będzie, tak jak i nie wróci wolna Polska. Jednak butni najeźdźcy nieraz musieli staczać śmiertelne boje z pilotami spod znaku biało-czerwonej szachownicy, wśród których nie zabrakło i wychowanków Szkoły w Tęgoborzu. Na przykład Jerzy Iszkowski w kampanii wrześniowej był pilotem do zadań specjalnych 2 Pułku Lotniczego w Krakowie, potem przedostał się do Fran-

cji, gdzie szkolili się i latali w dywizjonie bombowym, a następnie do Anglii, gdzie w latach 1941—1943 latali w 304 Dywizjonie Bombowym Ziemi Śląskiej, brał udział w 48 bombowych wyprawach bojowych, dosługując się stopnia majora. Odnaczono go między innymi Krzyżem Virtuti Militari V klasy, a czterokrotnie Krzyżem Walecznych. W roku 1943 został zrzucony na teren okupowanej Polski i kontynuował walkę w podziemiu. Zabrał wówczas z sobą najcenniejszą pamiątkę — flagę, która powiewała nad Obozem Oficerów Polskich Nr 130 Salon III de Provanse, oraz w Dywizjonie Polskim — Rennes — Bretania. Flaga ta znajduje się w Muzeum Okręgowym w Nowym Sączu. Walcząc w składzie 303 Kościuszkowskiego Dywizjonu Myśliwskiego zginął za Ojczyznę wychowankowie Szkoły Grzegorz Sztuka i Marian Zajac. Leopold Kwiatkowski, który pozostał na swej Ziemi Sądeckiej, wyruszył na ścieżki kurierskie do Słowacji i na Węgry. Ponad sto razy przekraczał granicę, przeprowadzając ludzi i przenosząc ważne konspiracyjne materiały. Za swą kurierską działalność również został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Gdy do Nowego Sącza wróciła wolność, znowu rozwinęły się nad tą piękną ziemią skrzydła. Zapaleńcy: Adam Bajdo, Zygmunt Helczyński, Wojciech Koszul, Leopold Kwiatkowski, Jan Lu-

pa zyskali znów poparcie Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego i przystąpili do działania. Przeprowadzili akcję rewindykacyjną, a Kwiatkowski uczestniczył w ogólnopolskiej konferencji Lotniczo-Szybowcowej w Jeżowie Sudeckim na której uznano, że Szkoła w Tęgoborzu ze względu na dobre wyniki i warunki rozwoju turystyki szybowcowej winna być odbudowana.

W czerwcu w roku 1946 Leopold Kwiatkowski został przyjęty przez Dyrektora Departamentu Lotnictwa Cywilnego i zapadła decyzja o odbudowie Szkoły w Tęgoborzu; na wstępne prace przydzielono kredyt w wysokości 400 tysięcy złotych.

7 lipca 1946 roku był wielkim dniem odradzającej się Szkoły: przywieziono do niej dziewięć nowiutkich Jeżyków II (z przyrządami). Adam Bajdo przywiózł też ze Szczecina wyposażenie dla warsztatów oraz cztery poniemieckie szybowce SG-38 wraz z częściami zamiennymi.

Już w roku 1947 na turnusach Szkoły Szybowcowej Żaglowej Ministerstwa Komunikacji (bo taką nazwę oficjalną otrzymuje) przebywało łącznie sto osób. Na liście uczestników szkoleń spotykamy znane dziś w lotnictwie nazwiska: Andrzej Ablamowicz, Jerzy Adamek, Andrzej Glass, Janusz Grabiański, Sławomir Makaruk, Stanisław Wielgus. Do legendy Szkoły przeszła scena gdy Jadwiga Kwiatkowska miała wypadek przy lądowaniu, a jej mąż, przerażony perspektywą zniszczenia szybowca zawołał: *Jadziu — ostatnia Salamandra!* Jadzia była jedną z dziesięciu kobiet wyszkolonych w ciągu dwóch pierwszych lat powojennych.

Jesienią 1950 roku na Szkołę spadł poważny cios; bez podania przyczyn został zwolniony cały personel wyszkoleniowy. Szkoła w Tęgoborzu, tak jak i inne górskie szkoły szybowcowe, została zamknięta.

Miało upłynąć sześć długich lat, zanim odżyło sądeckie lotnictwo. Podawali się do jeszcze jednego wysiłku dawni pracownicy i sympatycy Szkoły. Dopięli swego: w roku 1957 powstał w Nowym Sączu Aeroklub Podhalański, spadkobierca chlubnych tradycji Szkoły Szybowcowej w Tęgoborzu. Tak się zaczął historii sądeckich skrzydeł nowy rozdział, który zapisują dzisiejsi instruktorzy i wychowankowie szkoły szybowcowej.



Jasiu urodził się w Pieninach, w biednej rodzinie chłopskiej. Był najstarszym z licznego rodzeństwa, składającego się z trzech braci i pięciu sióstr. Dlatego właśnie Jemu rodzice powierzyli swe wielkie stado owiec. Lecz z Jasia był bardzo lichy pasterz. Często pozostawiał owce bez opieki lub zamykał do koszara i biegł do wąskiego Obrochtu, który baczował o kilometr dalej i lubił opowiadać chłopcu stare dzieje Podhala — czasem historie piękne, innym razem tak straszne, że aż mu się unosiła czapka na głowie.

Owce, zamiast przybierać na wadze, wyraźnie chudły. Wierąc gdy stary Smreczak, dziadek Jasza zobaczył je po pewnym czasie, zmierzniałe, chodzące smutno ze spuszczoneymi głowami, przeląkł się nie na żarty, że dotknęła je jakaś epidemia. Podejrzanie to wydało się tym bardziej uzasadnione, że zniknęły ze stada bez śladów również dwa jagniata.

I z samym Jasiem działo się coś niedobrego. Czasem chodził zamyślony i nad wyraz poważny jak na swój wiek. Innym razem był tak bardzo ciekawy każdej rzeczy, że trudno go było znieść. Dostał parę szturchańców od rodziców i obcych, lecz to nie pomogło, zaraz się udobruchał i, uśmiechając się niepewnie, błagał ze łzami w oczach o wyjaśnienie, dlaczego drzewo nie tonie w wodzie albo złote liście jawora fruują jesienią w powietrzu jak ptaki. A kiedy ktoś mu powiedział, że o tych i innych ciekawych sprawach piszą w książkach, nie było już z nim rady... Dniem i nocą prosił o kupno „takiej książki”. Któregoś więc dnia ojciec tak bardzo się zdenerwował, że spral Jasia pasem i wypędził z domu. Dopiero matka, popłakała się, wstawiła się za chłopcem i przyprowadziła go z pewrotem.

Ale i to lanie niewiele wpłynęło na krnąbrnego pasterza. Może tylko stał się bardziej milczący, ponury i zadumany nieraz tak dalece, że nie wiedział gdzie się znajduje i co się do niego mówi. Toteż rodzice przyglądali mu się z coraz większym niepokojem. A gdy pewnej nocy nagle zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami jak ten bocian skrzydłami, to krzyżąc przeraźliwie, to na przemian śmiejąc się — przestraszyli się nie na żarty.

Było to akurat po dniu, w którym wążaty bacca opowiedział Jasiowi, jak w trzynastym wieku Tatarzy okrutnie niszczyli Podhale, paląc całe wsie, zabijając kobiety i dzieci. Wiele później śniło się Jasiowi, że go najeżdżący łapia, otaczają ze wszystkich stron, a on im ucieka przelatując na skrzydłach, z góry na górę, jak wróbel ze świerka na świerk.

Poradziły sąsiadki stroskanej matce, że Jasiowi mogłaby pomóc woda z cudownego źródła świętego Urbana. Poszła więc Smreczakowa na górę świętego Urbana i o wschodzie słońca nabrała w źródle cudownej wody. Podała chłopcu kilka razy. Niestety, i to nie pomogło; nie pomogło nawet kadzenie sierścią sąsiadowego psa, którego — jak sądzono — przestraszył się chłopiec. Jasio nadal był bardzo ciekawy wszystkiego i nadal nie przestawał się zrywać nocą.

Kiedy pewnej nocy znów zaczął krzyżać przeraźliwie, matka nie zasnęła do rana, a skoro poczęło świtać, zbudziła Jasia, nakazując mu umyć się gruntownie i oblec czystą bielizną. O wschodzie słońca opuściła wraz z synem wieś, spijając się pod strumą górę.

Około południa dotarli do wartko i głośno płynącego Dunajca. Po prawej jego stronie, wśród zieleni lip i świerków, zwracały uwagę murowane budynki, pokryte od niepamiętnych czasów czerwonym dachówką i dlatego zwane przez miejscową ludność Czerwonymi Kłasztorem. Mieszkańcy jego, zakonnicy Kameduli, szeroko słynęli ze swej

wielkiej pracowitości i mądrości; jedni uprawiali jarzyny w ogródku, pielegnowali i szczepili drzewka owocowe, hodowali pszczoły, inni zaś przepisywali książki w klasztorze, jeszcze inni zbierali zioła lecznicze, z których sporządzali lekarstwa, a lud z okolicznych wsi podał do Czerwonego Klasztoru po radę i lekarstwa.

Tam też spieszyła Smreczakowa z Jasiem.

— Z moim synem dzieje się coś niedobrego — powiedziała nieśmiało do przeora. — W domu nie mówi o niczym innym, ino o nauce i książkach... A tej nocy to ci fruwał na pościeli, jak ten orzeł tatrzański...

— Hm, hm, hm — pokiwał niedowierzająco głową brodaty mnich. Potem wstał, popatrzył chłopcu w oczy i zaczął sobie pokazać język.

— Nie wygląda na to, żeby był chory — rzekł po chwili.

Matka Jasia podniosła na przeora oczy pełne pytania i jakby zdziwienia.

— Wspominaliście, że syn chce się uczyć — ciągnął zakonnik dalej.

jecha, spoglądając raz po raz na półki uginające się pod grubymi tomami klasztornych ksiąg.

— Jak widzę, chłopcu podoba się u nas — dokończył przeor.

W godzinę później przewoźnik wyszedł Smreczakową na drugim brzegu Dunajca samą, bez syna. Była zamyślona, jakby jeszcze coś bardzo poważnego rozważała, i poruszała się niezmiernie wolno.

Jasiu pozostał w klasztorze, bo urzekł go te grube księgi, od których nie mógł oderwać oczu. I od tej pory, zgodnie z obyczajami klasztornymi, nie nazywał się już Jasiem, lecz bratem Cyprianem.

Brat Cyprian uczył się pilnie; w kilka dni opanował sztukę czytania. Polykał wiedzę, chcąc jak najrychlej zgłębić jej wszystkie tajemnice. Interesował się leczniczymi ziołami, uprawą warzyw i drzewek owocowych, chemią, fizyką, matematyką, geodezją i geologią. Stał się stolarem,

Spędzał więc brat Cyprian wszystkie wolne chwile w bibliotece klasztornej, a kiedy czuł się zmęczony, szedł nad splejony brzeg Dunajca i dumal nad tym, co przed chwilą czytał. Spozstrzegłszy zaś majestatycznie kołyszącego się nad Dunajcem jastrzębia lub orła, zapomniał o wszystkim; gwałtownie zrywał się na równe nogi i z podniesionymi ku niebu oczyma, próbował zapamiętanie odkryć tajemnicę ptasiego lotu.

Wreszcie któregoś dnia, w największej tajemnicy przed pozostałymi mnichami, rozpoczął przeprowadzać próby ze sztucznymi skrzydłami, które sam budował.

Próby te trwały przez kilka lat i nie przynosiły zadowalających rezultatów. Toteż brat Cyprian nie przestawał przyglądać się lotom ptaków, fruwanemu papieru czy też suchych liści z drzew. Potem to, co spostrzegł ciekawego, wprowadzał do składanych skrzydeł, które stawały się coraz to wymyślniejsze. Ale nie udało mu się skonstruować ani jednego takich, przy pomocy których mógłby zaryzykować lot na drugi brzeg Dunajca.

Pewnego jednak razu zobaczył zjawisko, wokół którego wiele razy przechodził, ale na które nigdy nie zwrócił uwagi. Otóż, nie wszystkie liście z przyklasztornych lip spadały pod drzewa, lecz niektóre, unoszone prądem powietrza, leciały bardzo daleko. Jeden liść nie spadał w dół, ale wirował powoli, a wreszcie — o dziwo! unosił się nieco w górę, a potem popłynął prosto przed siebie ku szczytom Trzech Koron. Teraz młody zakonnik przestał pracy nad wymyślnymi skrzydłami i rozpoczął doświadczenia z latawcami, do budowy których wykradał pergamin i przeszcierał.

Próby teraz przynosiły coraz bardziej obiecujące efekty, brat Cyprian miał już tylko jedną wątpliwość; czy latawiec potrafi unieść człowieka? Chcąc się o tym przekonać, zrobił w roku 1753, a więc przeszło dwieście lat temu, coś w rodzaju dzisiejszego płachtowego szymbowca i poszedł z nim na szczyty Trzech Koron.

Od wschodu podmuchiwał lekki wiatr, ale pogoda tego dnia była piękna, a powietrze czyste, przezroczyście. Ludzie gromadnie wyszli na pola. Jedni okopywali ziemniaki, inni suszyli siano, a jeszcze inni łowili ryby w Dunajcu. Brat Cyprian przywiązał się do płachtowca i, po chwili wahania, zaczął biec. I naraz porwały go prądy powietrza i poniosły na cudownych skrzydłach ponad wierchy i lasy ku samotnym Tatrom.

Dostrzegli go pracujący ludzie w polu, kiedy przelatował nad rzeką, a potem zniknął między szczytami gór. Dzieci, kobiety, chłopów i wszystkich na widok człowieka o szatańskich skrzydłach ogarnęło ogromne przerażenie. Zegnali się pospiesznie i z krzykiem pędzili ku wsi.

Brat Cyprian przeleciał około czterdziestu kilometrów i osiadł nad Morskim Okiem, na ogromnym głazie który od tego czasu góralnie nazywają Mnichem, bo też i przypomina mnicha w kapturze. Do klasztoru wrócił dopiero na trzeci dzień, włokąc za sobą uszkodzone przy lądowaniu skrzydła. Był szczęśliwy, pełen radości i uniesienia. Jednakże zakonnicy zardrośni o popularność brata Cypriana wśród miejscowego ludu, nie tylko nie popieprali jego wynalazku, lecz w dodatku skwapliwie posadzili o konszaty z diabłem. I na mocy wyroku sądu duchownego jeszcze w tym samym roku spalono na dziedzińcu klasztoru w obecności wielkiej ilości ludzi „diabelski wóz” — pierwszy nie tylko w Polsce, ale i w środkowej Europie samolot. Niesforownie zaś brata Cypriana przeniesiono daleko od rodzinnych stron, na równinę węgierską.

Andrzej Jazowski

IKAR NAD DUNAJCEM



Fot. ANTONI KROH

— Oo, tak! W domu nie mówi o niczym innym, ino jacy o tym. Ale gdzie my, biedni hań ludzie, możemy dać go do szkół czy nawet kupić książkę, kiedy w domu nie ma co do ust włożyć... Ba hań.

— No tak... Rozumiem — skinął głową, a potem dodał niepewnie: — My moglibyśmy go przyjąć, ale czy on będzie chciał i czy wytrzyma, bo u nas w klasztorze jest bardzo a bardzo ciężko...

— Chcę! Wytrzymam!... zawołał Jasio.

Mnich i matka spojrzeli w jego stronę. Stał cały rozpromieniony ze szczę-

malarzem, wyrabiał lustra i w ogóle nie było rzemiosła, na którym by się nie rozumiął. Jednakże najbardziej i najtrwalej zaprzął jego umysł lot ptaków. Sen, jaki miał swego czasu, o pomyślnej ucieczce z okrążenia Tatarów przy pomocy skrzydeł, wracał raz po raz, coraz bardziej realny.

— Jakby to było dobrze — rozmyślał — gdyby człowiek jak ptak mógł uciekać przed prześladowcą z góry na górę... A czy ludziom nie byłoby łatwiej i wygodniej żyć, gdyby mogli lecieć sobie szybko ponad groźnymi przepaściami ze szczytu na szczyt... Ej byłoby to wspaniała rzecz...

UZASADNIONY NIEPOKÓJ

Przedstawiciel sądeckiej „Solidarności”, JAN BUDNIK, mówi z rozgoryczeniem: — *Dyskutujemy trzy godziny dziesięć minut i nie doszliśmy do niczego. Wiemy tylko, jaka jest sytuacja, ale to było wiadomo przed spotkaniem. Czas zacząć rozmowy z osobami kompetentnymi, które będą w stanie podjąć wiążące decyzje.*

Zanim te słowa padły, Rada Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Sączu powołała zespół, który opracował memoriał sygnalizujący niepokojące zjawisko: otóż w wojewódzkim mieście kolejka po mieszkania wydłużyła się do tego stopnia, że trzeba poszukać bardziej niż dotąd radykalnych rozwiązań.

Najpierw powiedzmy, ile budujemy. Otóż w latach 1976—80 zbudowano 1974 mieszkania. Z tego tylko 37 procent przydzielono bezpośrednio oczekującym członkom spółdzielni. Resztę rozdysponowały zakłady pracy i administracja. I to jest pierwszy punkt sporny, wywołujący zresztą sprzeciw spółdzielców w całym kraju.

Teraz o skali społecznych potrzeb: w tej chwili czeka w Nowym Sączu na przydział sześć i pół tysiąca pełnoprawnych członków. Gdyby zachować dotychczasowe rozdzielniki (około 146 mieszkań rocznie) to ostatni z obecnej kolejki wprowadziłby się do swoich mieszkań za 44 lata!

Rada Spółdzielni nie godzi się oczywiście na dalsze przejmowanie przez zakłady pracy i administrację tak poważnej części swej substancji i realistycznie powiada: *80 procent pragniemy dzielić sami. Cóż to jednak oznacza? Ano tyle, że co roku można by dać przydział nie 146 rodzinom, lecz 316. Czas wycekiwania ostatnich z obecnej kolejki skróci się wtedy do lat ówdrzwiestu.*

To tempo jest również nie do przyjęcia. Autorzy memoriału przesłanego do Komitetu Wojewódzkiego partii postulują więc radykalne zwiększenie ilości budowanych mieszkań (z 371 w roku obecnym, do 800 w latach najbliższych). Czas oczekiwania sześciu i pół tysiąca spółdzielców skróci się wtedy do lat ośmiu...

Tyle podstawowych danych z opracowania rozesłanego pod różne adresy. A teraz krótką relacją z narady tak surowo ocenionej przez działacza „Solidarności”.

RYSZARD OPALEK: *stanowczo skończyć trzeba z wyburzaniem budynków mieszkalnych nadających się jeszcze do użytkowania oraz z budowaniem domków jednorodzinnych na terenach uzbrojonych, na których mogą stanąć bloki trzy i cztery kondygnacyjne. Proponujemy zagęścić zabudowę na osiedlu Barskiej II i wejść z budownictwem płombowym tam, gdzie jest to możliwe. Koncepcje urbanistyczne są błędne: planują zbyt szeroko, uciekają poza miasto, co podraża koszty, bo trzeba zbroić nowe tereny.*

Ponadto nie wykorzystuje się pełnej mocy prefabrykatorni w Rogoźniku i Gorlicach.

STEFAN KOMANDER: *Nasz memoriał nie daje recepty na uzdrowienie sytuacji. Ale niektóre wnioski zasługują*

na rozważenie na pewno. Nie może być tak, że dysponuje się wkładami spółdzielców (150 milionów złotych) na inne cele. A równocześnie są przypadki przeznaczania mieszkań będących w dyspozycji miasta na potrzeby niemieszkalne. Chcemy odczytać, co się tylko da i egzekwować zdecydowaną poprawę jakości wykonawstwa; sprawdzić również trzeba stan materiałów przeznaczonych na wbudowanie. Nie godzimy się także na odbiór bloków niekompletnych.

JERZY PIECHOWICZ: *Musimy jasno określić, ile mieszkań zamierza przejąć administracja i zakłady pracy. Bez tego nie można planować. Jestem zdania, że 80 procent powinna zachować spółdzielnia! Druga sprawa: dlaczego melniki przejął urząd miasta? Czy nie należy ich przywrócić do spółdzielni, żeby uniknąć różnic nadwyżek? Po trzecie: innego rozwiązania wymaga kwestia mieszkań tych ludzi, którzy przychodzą do pracy w Sączu, a zachowują mieszkania gdzie indziej.*

STANISŁAW HORWATH: *Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie dowiemy się, ile mieszkań pozostawi władza do dyspozycji spółdzielni. Towarzysze Koszkul i Oleksy powinni nam powiedzieć, które zakłady pracy i gdzie zaczęta realizować budownictwo płombowe.*

HENRYK MIZIANTY: *WZSR do roku 1982 wybuduje 123 mieszkania i mini 2 łobek. Możemy budować więcej, ale nie mamy materiałów. Zastanawiam się, czy w tej trudnej sytuacji dawać materiały na domki jednorodzinne czy raczej na budowę bloków.*

HENRYK PAWŁOWSKI: *Oszczędzajmy raczej na innych budowach; na prywatnych każdy skrawek materiału się szanuje. Czy nie widzicie, jak marnuje się od lat materiały np. na budowie pawilonu w osiedlu Millenium?*

Gdy Wasze opracowanie wpłynęło do MKZ „Solidarność”, nie zdawałem sobie sprawy, że dopuszczono do tak tragicznej sytuacji. Podejmowaliście błędne decyzje i to się mści.

MIECZYSLAW DRZALA: *Był okres, gdy zbliżyliśmy się do sytuacji idealnej, okres oczekiwania na mieszkanie miał zaniknąć. Ale obiektywne przesłanki i wyjątkowo duży przyrost określone potrzeby w mieście. W województwie czeka na mieszkania 20.421 rodzin.*

Sprawy województwa należy rozpatrywać w szerszym kontekście. Do tej pory nie ma z prawdziwego zdarzenia prefabrykacji. Robimy tyle, ile możemy. Traktuje się nasze województwo źle. O ile w Rogoźniku i w Gorlicach można będzie trudności rozwiązać, to w Sączu nie ma szans.

Resort traktuje nas po macoszemu. Decyzją dyr. Zjednoczenia, Chmury, budujemy w Czechowicach-Zdrzacach zamiast kończyć pawilon, który miał być gotowy w 1977 roku. Również na jego polecenie organizujemy bradydy wyjazdowe na eksport mimo braku potencjału. W tej sytuacji ludzie odchodzą na emeryturę będą otrzymywać mieszkania jako premię. Budynki, które miały być efektem tego roku, idą poślizgiem na przyszłość.

WIESŁAW OLEKSY: *Problem jest nam znany na co dzień. Przecież te tysiące członków i kandydatów stają u moich drzwi po mieszkania zastępcze.*

Co powinniśmy zrobić? Muszą nastąpić zmiany w zarządzaniu inwestycjami w mieście. Nie byliśmy i nie jesteśmy partnerem dla nikogo w Polsce, jeśli chodzi o inwestycje, mimo że wiele razy zabiegaliśmy o to. Muszą być podjęte decyzje w resorcie i w województwie. Liczymy na wojewodę Antoniego Rącz-

kę; były to pierwsze sprawy, które omawialiśmy po podjęciu przez niego pracy. Konieczne jest zwiększenie mocy przerobowej, umocnienie NKB i podwykonawców, podniesienie wydajności OWT, wzbogacenie jej poprzez wytwórnie poligonowa.

Plan ogólny rozbudowy miasta nie jest dokumentem stałym, weryfikuje go życie. Uważamy, że istotnie szeroko planowaliśmy! Trzeba planować na stariej tkance miasta. Stąd nasze wnioski też zmierzają do pewnych zmian w planie. Jesteśmy za tym, by popierać budownictwo zakładowe w systemie 3—4 kondygnacji, budownictwo jednorodzinne w systemie spółdzielczym i indywidualne. Powołane zostały społeczne komitety przy zakładach przydzielające odpowiednią ilość działek. Zakłady pomogą w formie materialnej i urządzeń, a także wezmą na siebie infrastrukturę czyli zbrojenie. Planujemy w Dąbrówce — 240 domków jednorodzinnych. Są opracowane plany bardzo ładnych domków w kilku wersjach.

Konieczne jest powołanie samodzielnego przedsiębiorstwa uzbrajania terenów. Obecne jest niewydolne i za małe, tym bardziej, że przystępujemy do zbrojenia terenów dziewięcioletnich.

JAN KOSZKUL: *Wiele spraw dotyczących miasta znajdowało się dotąd w gestii władz wojewódzkich. Tak np. infrastruktura czyli ciepło dla miasta i oczyszczalnia ścieków zbyt długo czekała na rozwiązanie, a decyzje nie były najlepsze. Mieliśmy ponadto pecha. Przeniesienie przedsiębiorstwa z Krakowa do Rzeszowa, spowodowało, że spadliśmy z wykonawstwem.*

Nie uczestniczyliśmy w otwarciu słynnej OWT. Telewizja zrobiła reklamę, że Sącz ma fabrykę domów, a ona jeszcze nie produkowała. Na skutek tego inne województwa nie pomagały nam. Nie uczestniczyliśmy również w naradach z ministrem Głazurem i Kulkuryką.

Zrobimy wszystko, by niebałem zorganizować naradę z ludźmi kompetentnymi, żeby można było podjąć trafne

decyzje na przyszły rok. Szkoda, że nie poprosiliśmy tu kogoś z planowania i wojewody.

Z opracowania Rady Spółdzielni przytoczyć warto jeszcze kilka stwierdzeń, dopełniających obraz dyskusji skrótowno wyżej prezentowanej:

— Nowemu Sączowi brakuje terenów uzbrojonych pod budowę sześciu tysięcy mieszkań, konieczna jest więc rewizja planów urbanistycznych oraz intensywne zbrojenie terenów. Pod zabudowę cztero-kondygnacyjną autorzy opracowania wskazują np. Załubińcze.

— Należy ograniczyć zatrudnienie w administracji, a nowe mieszkania przydzielać w trybie przyspieszonym tylko fachowcom niezbędnym, o wysokiej klasie oraz absolutom wyższych uczelni.

— Ograniczyć, bądź wstrzymać, wszelkie inwestycje poza budownictwem mieszkaniowym oraz resortami zdrowia i oświaty.

— Unowocześnić i zracjonalizować technologię budownictwa, równolegle wykonywać obiekty systemem tradycyjnym.

— Zwiększyć potencjał Kombinat Budowlanego, poprawić zaopatrzenie w sprzęt i materiały.

— Zobowiązać zakłady pracy posiadające własne ekipy budowlane do realizacji budownictwa mieszkaniowego zwłaszcza płombowego.

— Rozważyć możliwość nadbudowy domów będących w gestii gospodarki komunalnej i mieszkaniowej.

Są w proponowanych koncepcjach punkty kontrowersyjne i słabe. Ot, choćby postulat budowy mieszkań mniejszych, zburzenia części Starej Kolonii, rezygnacji z dużych ciepłowni na rzecz ogrzewania etażowego czy wręcz piecowego. W sumie jednak memoriał **Rady dobrze świadczy o reanimacji ducha spółdzielczego** i po uzupełnieniu, wnioski wypracowane w ciągu ostatnich dwóch lat przez Komitet Wojewódzki partii (m. in. postulat sprawiedliwego i jawnego prowadzenia polityki mieszkaniowej oraz usprawnienia procesu inwestycyjnego) — może spełnić swój cel, jeżeli...

No, właśnie! Jeżeli sformułowany zostanie pod właściwy adres. Trudno się bowiem nie zdziwić, iż spółdzielcy o płombach, nadbudówkach i ciepłociągach dyskutować chcą z instancją partyjną, a nie z administracją terenową i resortem.

My w każdym razie nieśmiało proponujemy powrót do hasła „niech rządzą, a partia kieruje”. Nigdy nie zrealizowane, wydaje się ono jednak obiecujące i na czasie.





Druga do Zalesia

Do Jana JURKA wybrałem się po raz pierwszy pod koniec tegorocznych wakacji.

Wyniki szesnastego konkursu „Złotej Wiechy” na najlepszy budynek inwentarski, do którego zgłosił swą nową chlewnię, nie były jeszcze znane; nie wfedzialem więc, że jadę do laureata drugiej nagrody. Samochodem terenowym marki „UAZ” jechałem do Lipnicy Wielkiej — Zalesia w gminie Korzenna, wskazaną przez znających te okolice, ponoć lepszą drogą przez Janówkę. Na długim odcinku był to trakt nieprzejezdny dla normalnych samochodów, ale gdy widać już było zabudowania przysiółka Zalesie z widoczną chlewnią w gospodarstwie Jana Jurka, rozpoczął się prawdziwy koszar. „UAZ”, jadący już na pierwszym biegu i z napędem włączonym na obydwie osie, wjechał w niewielki wąż, przez który przeciska się droga, ugrzązł w błotnistej mazi. Podkładane pod koła gałęzie rosnących przy drodze drzew oraz kamienie nie zmieniły sytuacji. Ostatnie kilkaset metrów przeszedłem piechotą. Syn gospodarza wyciągnął auto ciągnikiem. Udało się, bo młody Jurek na teren i omijał drogę jadąc przez pola.

Od Jana Jurka dowiedziałem się, że do przysiółka Zalesie, gdzie jest ponad 70 gospodarstw, istnieje także droga od Lipnicy Wielkiej, również nieprzejezdna. Tamteży właśnie próbowała przedrzeć się sanitarka. I ona ugrzęzła w błocie. Chory musiał ostatni kilometr drogi przejść na własnych nogach — nogach, które były przyczyną pobytu w szpitalu.

Zestawienie nowoczesnej chlewni, dysponującej stanowiskami dla 20 macior, 70 warchlaków i 100 tuczników, ze staniem dróg, którymi zwoził przyszłe materiały na jej budowę, musi zastanowić każdego.

Początkiem wszystkiego była chęć unowocześnienia gospodarstwa, wzbogacenie go o ciągnik — wspomina Jan Jurek. — O traktor było trudno, a urzędnicy z gminy mówili, że pierwszeństwo mają specjaliści. Zdecydowaliśmy więc: świnie. Poupychaliśmy je, gdzie tylko się dało. Produkcja wzrosła tak poważnie, że w gminnym rejestrze przy pozycji „gospodarstwo Jana Jurka — Lipnica Wielka — Zalesie” pojawił się dopisek „specjalistyczne”. — Urząd słowa dotrzymał, na ciągnik nie czekałem długo. Pracownicy gminy często mnie odwiedzali, a przy każdej wizycie słyszałem: „Panie Jurek, jesteś pan hodowcą — specjalista, więc pomysł jest o rozwoju gospodarstwa. Przydałaby się nowa chlewnia”. Ano, przydałaby się — sam to czułem, ale odstraszał mnie stan dróg. Urzędnicy z gminy jednak chodzili, przyjeżdżali przedstawiciele Urzędu Wojewódzkiego. Mówili o korzyściach rozwoju gospodarstwa. Obiecywali, że już niedługo do

Zalesia dojeżdżać się będzie dobrą drogą. Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych w Nowym Sączu przygotował mi projekt chlewni. W czerwcu 1977 roku zacząłem zwózki materiałów. Każdą przyczepę żwiru musiały ciągnąć dwa traktory, a i to tylko wtedy gdy było w miarę sucho. Cement już na głównej

micznych typu „MAXI” i cegły na chlewnię poszło strasznie dużo. Na sam tylko zbiornik gnojowicy trzeba było przemieszać ze żwirem ponad tonę cementu. Składu na obornik nie ma do dziś, bo jak dowiędzie materiał? To z powodu transportu budowa tak się wlokła.

Po tej wizycie w Zalesiu na łamach „Gazety Południowej” opublikowałem interwencyjny materiał o drogach, których nie ma. Z dziennikarskiej rzetelności odnotowuję, że nie długo przyszło czekać na reakcję nowego Naczelnika gminy Korzenna, Zbigniewa Szewczyka. Przewodnik zyska nową drogę. Poprowadzona ona będzie inną, dogodniejszą trasą niż dwa trakty istniejące do tej pory. Na zebraniu wiejskim mieszkańcy zadeklarowali bezpłatne odstąpienie gruntów pod drogę i swój udział przy jej budowie. Prace projektowe już podjęto, a roboty drogowe powinny ruszyć jeszcze w tym roku i potrwać ze dwa lata — bo wybudować trzeba kilka kilometrów.

Kiedy dotarła do mnie ta wiadomość, postanowiłem powtórnie odwiedzić Lipnicę Wielką — Zalesie. Tym samym „UAZ-em” z Wojewódzkiego Zarządu Inwestycji Rolniczych postanowiłem sprawdzić drugą drogę do Zalesia — od strony Lipnicy Wielkiej. Gdy odjeżdżałem spory kawałek od wiosy Nowy

legium orzekającym. Do gospodarstwa Jurka jednak dotarliśmy.

Na pierwszy rzut oka nie się tu zmieniło. I znów, jak poprzednio, gospodarze (żona i synowie Jana Jurka, bo on sam poszedł do Korzenny do Urzędu) uprzedzają moje pytania. Nie dokończyliśmy budowy. Miał być skład obornika, minęła połowa listopada i nie ma nawet tego śladu. Gdyby nawet w tym roku cały materiał był na miejscu, to i tak nie by z tego nie wyszło. Człowiek tylko robił w polu, żeby coś z tej ziemi wymusić. Trzeba było odłożyć także budowę silosu — takiego dużego, przejazdowego, chociaż jest niezbędny, bo nie oplaca się trzymać kiszzonek w przymach. Pasze zaś mieć trzeba, bo podczas nieurodzaju ten w hodowli lepszy, kto ma swoje. Boimy się, że będziemy musieli zmniejszyć ilość macior z powodu braku paszy. Plan zakładał, że z jednego hektara użytków mamy odstawić 800 kg żurca, a sprzedaliśmy już jedenaście i pół tony, czyli o wiele więcej. Po świnie przyjeżdżał samochód — to prawda. Utknął jednak ponad kilometr od chlewni. Tego odcinka drogi po deszczu nie przejedzie nawet ciągnik; więc świniki trzeba było transportować wozem konnym.

Stanisław Śmierciak

Chłopska prawda

W konkursie „Złotej Wiechy 80” w województwie nowosądeckim laureatami zostali: w grupie obiektów wzniesionych przez zespoły najwyższą ocenę zyskała chlewnia trzech rolników z Wilkowskiej w gminie Jodłownik: JÓZEFA KUBASA, WLADYSŁAWA KUBASA i WLADYSŁAWA OPIOŁY. W grupie obiektów wzniesionych indywidualnie pierwszą nagrodę zdobył JOZEF PACYGA z Kacwinia w gminie Łapcie Niżne — za owczarnię. W tej kategorii przyznano również trzy równorzędne drugie nagrody. Otrzy-

mał je: ANNA WÓJCIK z Krasnego Potockiego w gminie Chelmiec z chlewnią, JAN JUREK z Lipnicy Wielkiej w gminie Korzenna za chlewnię oraz KAZIMIERZ CICHOWSKI z Zawadki w gminie Tymbarok za oboro-bukaciarnię. W grupie zmodernizowanych obiektów inwentarskich laureatem został FELIKS GÓRSKI ze wsi Siedliska w gminie Bobowa za oboro-bukaciarnię. Drugą nagrodę w tej kategorii przyznano IRENIĘ i BRONISŁAWOWI SMOLENIOM z Mołyny w gminie Limanowa — za chlewnię.



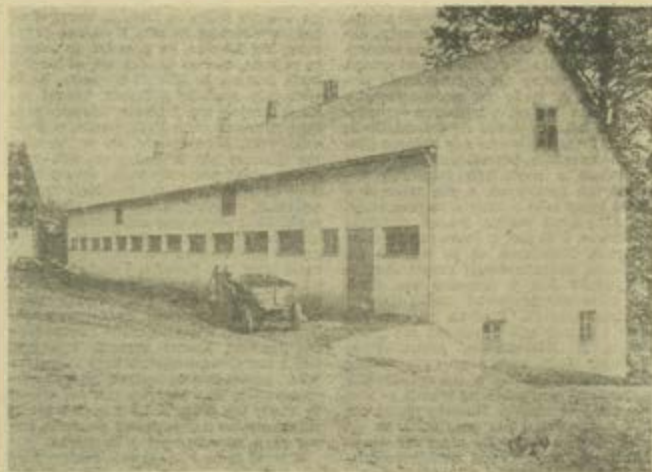
Jan Jurek na tle swego gospodarstwa.

W domu jest para koni — to jeden wóz. Samochód nie mógł jednak czekać, więc trzeba było wynajmować drugą jurmankę i za jedną turę płacić 150 albo, jeśli właściciel koni chciał, dać mu odpowiednią ilość zwoża.

Chlewnia Jana Jurka w listopadzie była zapełniona, ale zapas paszy, jaki zdołano zgromadzić, nie gwarantuje utrzymania wysokiego pogłowia aż do wiosny. Jeśli nie uda się pozyskać dodatkowej paszy, trzeba będzie ograniczyć wielkość stada, nawet ilość macior zmniejszyć do połowy, co będzie jednoznaczne z ograniczeniem przyszłorocznej produkcji mięsa. Zmniejszy się dochód gospodarstwa, którego właściciele zainwestowali w budowę chlewni milion dwieście tysięcy złotych, zaciągając siedemsettyśięcny kredyt bankowy. W konsekwencji Jurkowie zmuszeni zostaną do ograniczenia hodowli w latach następnych, bo braknie im pieniędzy na dokończenie inwestycji: budowę składu obornika — a to zahamuje nawożenie pól i ograniczy plony roślin pastewnych. Nie będzie za co pobudować silosów do gromadzenia paszy na następną zimę. Wtedy znów pojawi się widmo ograniczenia hodowli. Z tego wszystkiego trzeba zdławać sobie sprawę, gdy myśli się z zazdrością, ile też wypłacono Jurkowi z Lipnicy za ponad 11 ton sprzedanych w tym roku świnii. Trzeba też pamiętać, że podobne trudności muszą przeżywać również inni hodowcy, nawet laureaci konkursu „Złotej Wiechy”.

drodze trzeba było przeladowywać z przyczepy ciągnikowej na wóz i wio koniki. Gdy wóz wpadł w błoto, to się go rozładowywało. Cała rodzina przenosiła na plecach te worki kawałek dalej. Wyciągaliśmy wóz, ladowaliśmy i jazda dalej. I tak ze cztery razy przy jednym nawrocie. A cementu, bruków cera-

Sącz — Wilczyca, zatrzymał nas traktorysta. Panowie, to dobre auto, wszędzie przejedzie, ale tą drogą dalej nie da rady. Do Zalesia musicie przez Janówkę. Zaorane pole było bezpieczniejsze — choć przyznam, że jeden z gospodarzy będący akurat w pobliżu, z tej właśnie okazji umówił się z nami w ko-



Gospodarstwo Jana Jurka II Złota Wiecha 80

Zdjęcia: STANISŁAW ŚMIERCIAK



Fot. WŁADYSŁAW WERNER

Jej ojcem był Jędrzej Dziadoń, leśniczy z Lysej Polany, słynny ze swego udziału w polsko-węgierskim sporze o Morskie Oko. („Encyklopedia Tatrzańska” Zofii i Witolda Paryskich nie wiadomo dlaczego pomija tę malowniczą postać). Zanim w roku 1902 trybunał w Grazu przysądził ostatecznie Galicji całą dolinę Rybiego Potoku aż po Sie-

dem Granatów, grał Żabiego i Rysy (dzisiaj biegnie tędy granica polsko-czechosłowacka), Morskie Oko i cała dolina była przedmiotem odwiecznej wadźni.

Przez wiele dziesiątków lat żandarmi węgierscy i jędrzy księcia Hohenhofego zajmowali Podhalańcom bydło, grabili, połowali, wycinali las na spornym te-

Galeria twórców ludowych

Bronisława Konieczna „Dziadońka“

renie, a nawet budowali domki myśliwskie nad Morskim Okiem. Strona polska broniła swego stanu posiadania, odpłacając pięknym za nadobne. Bójki, zasadzki, rozbieranie płotów, podpalanie budowanych bezprawnie altan były w owym czasie na porządku dziennym. Dziadoń, szczególnie zniechęcony przez Madziarów, przodował. Po wielu bezskutecznych próbach pojмали go, gdy jechał na targ do Kieżmarku. Idąc pod eskortą na rozprawę do Lewoczy, poprosił jednego z żandarmów o ogień. Gdy ów zapalał mu fajkę, Dziadoń przasał go skutymi dłońmi w łeb i skoczył w las. Leczył potem w Kuźnicach u Zamoyskich sforsowane nogi.

Autorzy, pisząc o tamtych czasach, analizują świetną mowę sądową Oswalda Balzera w Grazu i jego ciętą polemikę. Wymieniają również będziego ze strony polskiej, wspaniale utytułowanego c.k. tajnego radcę i podkomorzego, c.k. prezydenta sądu krajowego wyższego we Lwowie, dr Aleksandra Mniszka Tchorznickiego — ale warto również pamiętać, że niemałe zasługi w obronie Morskiego Oka ponieśli też ofiarni górale z Dziadońmiem na czele.

Jego córka Bronka wychowywała się w domu, stojącym przy gościńcu Zakopanem—Spisz. Przewijało się tutaj sporo ludzi: wieczorami schodzili się przy ognisku, grali i śpiewali górale z Jaworzyna, Zdziaru, Białki, Bukowiny, Jurgowa, Zakopanego. Również turyści, jadący „fasiągami” do Morskiego Oka, zabierali ze sobą muzykantów. Dziadoń-

ka słuchała więc od dziecka wielu prymistów, poznawała różne style gry, uczyła się nut podhalańskich, spiskich, cygańskich, słowackich, węgierskich.

Wcześniej też próbowała sama. Nie jeden raz ojciec przyłapał ją i zbił (muzykowanie było wówczas na Podhalu zajęciem wyłącznie męskim). Bronka jednak uparła się, nie ustępowała. Dziadoń poskarżył się kiedyś przypadkowo Władysławowi Zamoyskiemu, właścicielowi dóbr zakopiańskich, jakie ma z córką „kłopoty wychowawcze”. Dusigrosz Zamoyski, targując się z robotnikami o każdy halerz, oszczędzający na ubraniu i jedzeniu, wezwał dziewczynkę, posłuchał jej grania, po czym sprowadził dla niej z Wiednia koncertowe skrzypce najwyższej klasy. Grała na nich aż do śmierci.

Dziadońka, pierwsza góralska kobieta-prymistka, wywarła na muzykę Podhala znaczny wpływ. Była nie tylko wykonawczynią, ale i kompozytorką. „Dziadońcynie” nuty, przez nią ułożone, upowszechniły się i uważane są — jak że słusznie! — za ludowe, czyste goral-

skie dzieci. Mieszkałam o kilka domów od niej i jak inne dzieciaki z sąsiedztwa, wpadałam wieczorami, posłuchać. Bezinteresownie przychodziła do nas do szkoły, uczyła starych nut. Kilkoro jej uczniów to znani dzisiaj prymściści, jak choćby utalentowany Józef Wilczek. Wielu się zmarowało: jeden jest adiunktem na Akademii Górniczo-Hutniczej inny został wybitnym elektronikiem i mieszka w Warszawie, a jeszcze inny kleci mierne ekstzy do miernego tygodnika. Myślę jednak, że u każdego z nich została „drzaga radośna pod sercem”, jak mówi poeta.

No, a po kilkunastu latach przyszło mi wziąć udział w jej pogrzebie. Przemawiał Pacho. Swoim wyczajem trzymał przed sobą kapelusze z kartką w środku, i mówił o tym, że Dziadońka po Tamtej Stronie będzie muzykowała z najlepszymi: Bartuś Obrochta obejmie prym, ona sekund, a Karol Szymański siadzie przy basach. Rozbawiło mnie to ogromnie, o mało nie wybuchnąłem śmiechem. I znów minęło kilkanaście lat, piszę o niej wspomnienie, a pomyśl Pacha nie wydaje mi się już taki szokujący.

*Ep, dy my śpiwowomy
Sabaty nucićci,
bo nos naucyli
Dziadońki gęślicki —*

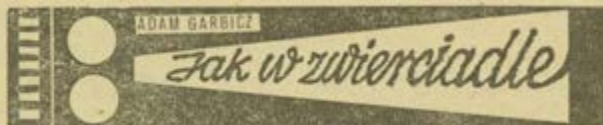
śpiewają czasem na Podhalu.

ANTONI KROH

W marcu ubiegłego roku wydarzyła się w elektrowni atomowej na Trzymiłowej Wypisie koło Harrisburga w Pensylwanii poważna awaria systemu chłodzenia reaktora. O mało nie doszło do straszliwej katastrofy, ewakuowano dziesiątki tysięcy ludzi, przez kilka dni sytuacja była krytyczna. Na szczęście wszystko skończyło się bez ofiar — ale elektrownia została wyłączona z ruchu, a rząd amerykański, pod wpływem olbrzymiego poruszenia opinii publicznej, uznał sprawę bezpieczeństwa pracy siłowni jądrowych za jedną z najważniejszych do rozstrzygnięcia w najbliższych latach. Po przeprowadzonych kontrolach wstrzymano ruch kilku innych elektrowni.

Czy był to pierwszy tego typu wypadek? Wstępne doniesienia mówiły, że tak; znawcy przedmiotu ujawnili jednak, że awarie w elektrowniach atomowych — najczęściej właśnie w systemie chłodzenia — zdarzały się już poprzednio i że były wśród nich równie groźne, lecz fakty zatajano przed wiadomością publiczną. Oczywiście wszyscy rozumieją, dlaczego: ktoś z nas chciałby żyć w sąsiedztwie odbezpieczonej bomby atomowej? A reaktor pozbawiony chłodzenia zachowuje się musi jak bomba: po roztopieniu podstawy jego płynna masa unikałaby w głąb gruntu i albo spowodowała wybuch po napotkaniu wód podziemnych, albo — teoretycznie — przeszła na wylot kulę ziemską i wychyliła na powierzchnię aż gdzieś w Chinach. Stąd nazwa owego niebezpieczeństwa w żargonie fachowców: syndrom chiński („syndrom” to zresztą termin z medycyny, oznaczający „zespół objawów”).

Taką właśnie awarię w elektro-



NA WYLOT, AŻ DO CHIN

wni jądrowej, która o mało nie zakończyła się katastrofą, opisali jeszcze w roku 1975 w powieści „The Prometheus Crisis” Thomas Scortt i Frank Robinson (ci sami, którzy byli autorami pierwowzoru książkowego PŁONĄCEGO WIEZOWCA, filmu o katastrofalnym pożarze w nowoczesnym hotelu). Oparli się na raportach Komisji Energii Atomowej USA. W roku 1978 ich książkę postanowił sfilmować ambitny młody producent MICHAEL DOUGLAS (syn słynnego Kira); sam zagrał jedną z ról głównych — kamerzysta telewizyjnego Adama, zaprosił do współpracy JANE FONDE (znaną ze swojej aktywnej działalności społecznej) oraz

JACKA LEMMONA, a reżyserie powierzył zdolnemu niezależnemu reżyserowi JAMESOWI BRIDGE-SOWI. Film CHINSKI SYNDROM wszedł na ekrany na dwaście dni przed awarią na Trzymiłowej Wypisie, bardzo podobną do tej, którą opisują.

Oto dlaczego film — pod względem realizacyjnym na pewno dobry, ale nie wystawny i raczej reporterski w stylu — odniósł aż taki sukces: można go było reklamować pod hasłem „kino wyprzedziło życie!”. Jednocześnie zaś — sugestywny obraz wydarzeń na tym: filmowej wyjątkowo silnie poruszył wyobraźnię milionów Amerykanów: był odbierany w nastroju

wiadomości dochodzących spod Harrisburga. Kino raz jeszcze uodowodniło swoją siłę społeczną; zagrożenie, powodowane przez elektrownie jądrowe, nie dano się już ukrywać.

Książka i film wyjaśniają dość dokładnie, dlaczego te zagrożenia były tak poważne; w grę wchodzi ogromne pieniądze. Bezpieczeństwo i ochrona środowiska to kosztowna sprawa; tam, gdzie nie widać czy rzeczywistość wydano fundusze na właściwe zabezpieczenia, tam, gdzie niełatwo to sprawdzić, rodzi się pokusa oszustwa, przekupstwa i ewentualnego zastraszenia uczciwych, którzy doszli prawdy. Rodzi się pokusa „zaoszczędzenia” środków, bo tańszą produkcją można pokonać rywali z innych koncernów, specjalizujących się w energetyce atomowej. A to dziś bardzo intratna i przyszłościowa specjalizacja: złoża ropy naftowej za trzydzieści-czterydzieci lat zapewne się wyczerpią...

Ale chodzi nie tylko o walkę konkurencyjną. Nowoczesne, arcykosztowne technologie w każdym ważnym wypadku powodują chęć obniżenia budżetów tam, gdzie nie są one absolutnie konieczne dla uruchomienia produkcji — a więc właśnie w dziedzinie zabezpieczeń, oświetlenia, rozpoznania warunków wpływu na środowisko. Nie uszczęśliwiły się takich „oszczędności” również w Polsce. Dziś przyszedł czas, że przyroda kraju i stan zdrowia ludzi zaczęły się gwałtownie dopominać, aby został z wielką rozważą obliczony rachunek strat i zysków na tych przedsięwzięciach. Dobrze, że robimy to teraz tak szeroko i otwarcie. Myślę, że w pamiętaniu o sprawach ekologicznych mogą nam pomagać właśnie takie filmy, jak CHINSKI SYNDROM.

W chatce rybackiej nad północnym morzem żyła matka ze swym synem Czumo. Głód często im dokuczał, gdyż matka była już stara, a synek nie umiał jeszcze łowić ryb.

Gdy jednak trochę podrosł, rzekł pewnego razu do matki:

— Matko, muszę iść w świat szukać pożywienia. Gdy wrócę, na pewno nie zabraknie nam ryb i tłuszczu.

Z płaczem żegnała biedna matka swego syna. O północy wstał, wziął zawiniątko z żywnością, które mu przygotowała na drogę, i wyruszył w świat.

Noc była jasna, niebo usiane gwiazdami. Nagle Czumo ujrzał, że białą ścieżką wijącą się z góry zbliżają się do niego trzy starcy o długich śnieżnych brodach.

— Dokąd to idziesz o północy, chłopcze, i czego szukasz po świecie? — spytali.

— Szukam pożywienia dla siebie i dla mojej starej matki, którą musiałem pozostawić w chatce nad morzem — powiedział Czumo.

— Posłuchaj nas, przyjacielu, jeżeli pomożesz nam zapędzić na noc stado reniferów, wskażemy ci drogę, na której znajdziesz, czego szukasz — powiedzieli starcy.

Czumo spełnił ich prośbę i wtedy starcy poglądziwszy swe długie, siwe brody rzekli:

— Weź sanie i jedź tą drogą, na której ujrzałeś nas po raz pierwszy, a będziesz szczęśliwy.

To mówiąc zniknęli w śnieżnej mgie, a Czumo spostrzegł przed sobą wspaniałe sanie zaprzęzione w otępienie renifery.

Siadł na sanie i pomknął jak strzała w górę po ścieżce, która biegła aż do nieba, lśniącego od śniegu.

Wtem ujrzał czarnego kruka, który leciał mu naprzeciw.

— Czego tu szukasz, wędrowcze? — zakrzakał kruk.

— Szukam szczęścia dla siebie i dla mej starej matki — odpowiedział Czumo.

Jestem wysłany przez trzech Starców Lodowych, by ci pomógł. A więc słuchaj uważnie, co ci powiem — rzekł kruk. — Pójdziesz dalej przed siebie, zobaczysz tam ogromne stado reniferów, ale nie wolno ci ich chwycić. Nie zatrzymując się jedź dalej i tam napotkasz jeszcze większe stado reniferów. I tych nie ruszaj, ale omińnawszy z dala pastwisko, jedź dalej. Napotkasz tam trzecie stado jeszcze liczniejsze od dwu poprzednich. Nie oglądaj się jednak i jedź dalej, aż ujrzysz wielki pałac cały ze złota. Mieszka w nim Słońce.

— Ale teraz panuje tam smutek, gdyż najmłodsza i najukochańsza córka Słońca leży na łożu śmierci i nikt jej nie może pomóc.

Gdy tylko staniesz przed pałacem, skieruj się wprost przed tron Słońca. Nie obawiaj się wcale, gdyż on przywita cię łaskawie i spytaj, czy nie mógłbyś uleczyć jego córki, w zamian za złoto i srebro.



Wtedy nie żądaj niczego od Słońca, tylko szczęścia dla siebie i twojej matki.

Gdy Słońce zaprosi cię do komnaty, w której leży jego córka, wejdź tam i zbliż się do jej łoża. Ale przedtem musisz otworzyć okno, gdyż ja tam będę siedział na drzewie nie opodal i gdy wyrucisz z okna ośc rybą, wtedy sfrunę z drzewa do komnaty i trzy razy zatrzepoczę skrzydłami nad łożem córki Słońca.

gą wskazaną przez kruka. Gdy już dołazi do palacu Słońca, stało się tak jasno, że olśniony blaskiem padł na ziemię przed słonecznym tronem.

— Nie lękaj się — usłyszał łagodny głos władcy nieba — wstań i poróż mi uleczyć moją ukochaną córkę, która leży we wschodniej komnacie, a dam ci tyle skarbów, ile tylko zapagniesz.

— Nie chcę ja złota ni srebra, ale pragnę tylko szczęścia dla sie-

O BIEDNYM SYNU RYBAKA I CÓRCIE SŁOŃCA

(Baśń plemienia Czuwańców)

Gdy się to stanie, wtedy córka Słońca otworzy oczy i będzie u zdrowiona.

A teraz żegnaj i zapamiętaj moje słowa — zakrzakał kruk i uleciał w dal.

I popędził Czumo na saniach dro-

gie i dla mojej matki starszki, która żyje samotnie w rybackiej chatce nad północnym morzem.

Wtedy wstało Słońce z tronu i zaprowadziło młodzieńca do komnaty swej chorej córki. Chłopak szybko podszedł do okna i otwo-

rzył je na oścież. Na drzewie opodal ujrzał kruka, który już czekał na niego. Rzucił ośc rybą na ziemię i kruk sfrunął wnet z drzewa do wnętrza, zawiśł przez chwilę nad łożem chorej córki Słońca i zatrzepotał trzy razy skrzydłami. Gdy to uczynił, wyleciał za okno i znikł w przestworzach.

Natychmiast zerwała się królowna z łoża, rumieńce zjawily się na jej licu i wstała jakby zbudzona z głębokiego snu.

— Szczęście ojca-Słońca nie miało granic.

— Zostań z nami, dam ci swoją córkę za żonę i to będzie twoje szczęście, o które mnie prosiłeś — rzekło Słońce.

— Nie mogę tego uczynić, o słoneczny panie, nie mogę mieszkać tutaj na niebie — muszę żyć na ziemi wraz ze swą matką starszką, która dzień i noc wygląda mego powrotu.

Zamyśliło się Słońce głęboko, usłyszawszy te słowa, i powiedział:

— Ha, jeśli taka twoja wola, to wóź moją najukochańszą córkę, którą uratowałeś od śmierci, i żyj z nią szczęśliwie na ziemi. Dam ci też owe trzy stada reniferów, które należą do mnie, a które spotkałeś po drodze. Ponieważ nie wyciągnąłeś wtedy po nie ręki, więc teraz są twoje.

Czumo rzucił się do nog dobroliwemu władcy w podzięcie i wkrótce ruszył wraz ze swą żoną w daleką drogę.

Trzy ogromne stada reniferów ciągnęły za nimi, nie popędzane przez żadnego pasterza.

Gdy przybyli do rodzinnej chatki Czuma, stara matka wybiegła na pióg i przysłowiwszy oczy dłońmi, gdyż właśnie była to pora, kiedy na północy trwa dzień, poczęła się przyglądać dziwnym wędrowcom.

— Peunie to jakiś bogacz przejeżdża przez naszą wioskę — pomyślała widząc niezliczone mnóstwo rogów i słysząc tętent kopyt tysięcy reniferów po stwardniałej ziemi.

— Matko! Moja matko najdroższa, to ja, twój Czumo — usłyszała nagle głos znajomy i syn rzucił się na jej ramiona ze śmiechem i łzami.

Nie wierzyła własnym oczom biedna rybaczka, że to jej Czumo wrócił z piękną królowną i ogromnymi skarbami. Myślała, że to sen i że wszystko zniknie za chwilę, a ona zbudzi się jak o dzień sama w nędznej izbie drżąc z głodu i chłodu.

Tymczasem córka Słońca wyjęła z kieszeni maleńki złoty kamyczek, rzuciła go na ziemię i w jednej chwili na miejscu nędznej chatki wyrósł pałac ze złota i srebra.

I odtąd żyła stara matka ze swym kochanym synem Czumo i z piękną synową, córką Słońca, w szczęściu i spokoju, a ryb, łuszczy i kór miała pod dostatkiem. I nigdy już odtąd nie zasnali zimna i nie drżeli w ciemnościach, bo Słońce co dzień zaglądało do swej córki i stało jej gorące promienie.



Fot. ARCHIWUM



Fot.: MIECZYSLAW STASZEWSKI

KORESPONDENCJA Z KRYNICY

Pan Józef Poręba z Krynicy. Jest Pan zdania (Dunajec 5), że nie zdaję sobie trudu, aby sprawdzić fakty oraz że zapomniałem o podstawowym obowiązku redaktora, jakim jest dociekanie prawdy. Spieszę donieść, że wziąłem sobie to do uwagi do serca i zabrałem się ostro do roboty. Mam już pewne wyniki, którymi niebawem podzielę się z Czytelnikami.

Proszę o przeczytanie mojej odpowiedzi na list p. Władysława Grabana.

Pan Władysław Graban z Krynicy. Pawilon w Parku Słotwińskim odbudowywany jest zgodnie z projektem, zatwierdzonym przez Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Nowym Sączu. Projekt oraz sposób rewitalizacji zabytku zyskał uznanie Generalnego Konserwatora

Zabytków, prof. Wiktorą Zina, skoro zdecydował on, działając na podstawie obowiązujących przepisów, dofinansować odbudowę. Jak wiadomo, Naczelnik Miasta i Gminy Krynica, ob. Władysław Sikorski, od ponad roku bezprawnie blokuje dotację. Do dnia dzisiejszego (24 XI) redakcja nie otrzymała od Naczelnika żadnej odpowiedzi na stawiane zarzuty. Brak reakcji na krytykę prasową jest naszym zdaniem lekceważeniem opinii publicznej przez Naczelnika oraz łapaniem rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów w tej sprawie.

Jak wiadomo, powyżej Parku Słotwińskiego buduje się kilkanaście prywatnych willi. Materiały budowlane wożone są systematycznie ciężarówkami przez park oraz przez plac zabaw dziecięcych. Pan, jako stały mieszkaniec Krynicy, najprawdopodobniej wie, czyje to są wille.

Nasze województwo, jak wiadomo, odwiedzane jest przez setki tysięcy turystów. Co krok widzimy więc wywieszki z charakterystycznym zielonym kompasem i literami IT — Informacja Turystyczna, Tourist Information, Turistischeska Informacja. Brak jedynie cytatu z Dantego: „Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodziście.”

Ważną sługą jest w tym szczęśliwym położeniu, że życie nie zmusiło go jeszcze do korzystania z usług owej informacji. Zaproszono mnie jednak przed paroma tygodniami na wykład dla przyszłych informatörów. Obstawiano dwa tematy: kulturę ludową oraz zabytki województwa.

Jadąc do Zakopanego rozmyślałem, jak w dwóch godzinach lekcyjnych zamknąć te jakże obszernie zespolone zagadnienia. Postanowiłem ogra-

niczyć się do pokazania na mapie poszczególnych grup etnograficznych i wskazania tych przejawów kultury ludowej, które mogą turystę zainteresować. Umyśliłem sobie omówić zabytki w powiązaniu z historią — tak, aby stało się jasne, dlaczego np. próżno szukać gotyku w Zakopanem, a na Orawie lemkońskich cerkiewek.

Okazało się rychło, że moje rozumowanie było całkowicie błędne. Nie zdołałem bowiem przewidzieć,

że moje słuchaczki (na około osiemdziesięciu kursantów było zaledwie kilku mężczyzn) nie potrafią umiejscowić na mapie Zubrzyce, Szymbarku czy doliny Grajcarka. „Geografia ma być jutro” — oznajmił szef kursu.

Trulem więc przez dwie godziny o góralach, Lachach i zabytkach, o gotyku i baroku, o migracjach wołoskich i panu Witkiewicz, obawiając się poważnie, że wykład taki dla pań, które mają zasadnicze braki w

wiedzy geograficznej i historycznej, jest zupełnie bezcelowy. Zakończyłem wreszcie, słuchaczki odetchnęły z ulgą.

— Czy są jakieś pytania? — zwróciłem się do sali.

Padło jedno tylko pytanie:

— Z czego pan będzie pytał na egzaminie?

Odpowiadam: Nie wiem, łaskawa pani, z czego będę pytał. Postaram się wykręcić od udziału w egzaminie, bo gdybym swoje obowiązki miał potraktować serio, musiałbym oblać znaczną część kursantek. Teraz jednak chciałbym zapytać organizatorów kursu: jaki upatrujecie sens w porówniowym szkoleniu ludzi zupełnie surowych? Czy nie wydaje się Wam, że taki kurs powinien trwać kilka miesięcy co najmniej? Czy uważacie, że absolwentki są dobrze przygotowane do roli informaterek?

DŁUGA MOWA, PRÓŻNE SŁOWA

W jaki sposób można dodać otuchy człowiekowi? Najlepiej zaproponować go na ulicę Nawojowską, ustawić tuż przy wejściu hasła „CELEM CORAZ LEPSZE MIESZKANIA DLA KAŻDEJ RODZINY” i zjechać na uśmiech szczęścia. Tak za, cienie wyobrażają to sobie specje, którzy sprawili, że to bezmyślnie zdanie wisi na płocie. Dlaczego nikt go jeszcze dotąd nie zdjął? Jak wiadomo, obecnie czas oczekiwania na mieszkanie wynosi wiele, wiele lat. Cel więc jest świetlany, ale jakby nieco odległy, a zanim słoneczko weździe, wielu oczekujących rona oczy wyje.

Imanowca. Jakis miejscowy Spinoza wbił w ziemię dwa patyki, przycił do nich arkusz sklejkę, a na tym wymalował następujący tekst: „PIĘKNIJSZE OSIEDLA MIASTA DLA LUDZI ALE I PRZEZ LUDZI”. Prawda mówiąc, byłem dotychczas przekonany, że piękniejsze osiedla miasta dla mieszkańców, ale i przez nosorożce.

Owo osiedle, to kilka domów zbudowanych niedawno, ale już zdewastowanych. Nazywa się ono „OSIEDLE XXXV-LECIA PRL”. Po cóż taka szumna nazwa dla paru nijkich, raczej zaniedbanych bloków? Czy autor rzeczywiście zapragnął z głębi serca uczcić trzydziestopięcioletnie, czy też raczej chciał się wykazać, podliczać, za-

krzyknąć: „O, jak'em zaangażowany, jak'em patriotyczny!” Tablica z trzydziestopięcioletnim, podobnie jak inne, jest brudna, a pod względem plastycznym okropna.

„Szczę Limanowa. „PATRZĄC NA WISŁĘ MYŚLIMY O POLSCE” — głosi napis, ustawiony w pobliżu stacji kolejowej. Nie wiem, jak czę-

NIE MĘŻCZYŹNIE, ALE ODDAJ SIĘ OJCZYŹNIE”.

W pewnym sklepie wiejskim, gdzie mieścił się również punkt skupu jaj, wisiała wywieszka „JAJA W GNIEZDZIE PRZETRZYMANE TO SĄ JAJA ZMARNOWANE”. Długo wisiała, oddziałując pozytywnie na okoliczną ludność, aż

wyłytnie na czyjkolwiek światopogląd? Skąd biorą się na to pieniądze?

Otóż wydaje mi się, że zainteresowany oia produkcją jest pewien gatunek ludzi, pragnący za wszelką cenę wykazać się, zamamiesztować swe ręce układowi, czujność, aktywność. Może się to przydać w dalszej karierze. Zaś ludzie, do których hasła niby są adresowane (robotnicy, szczególnie) mają do tego stosunek dwojaki:

1. Albo są całkowicie uodpornieni, przestali te dzielnki dostrzegać. Można wypisać najbardziej szkodliwy nawet myśl, na przykład „STOŁ MŁ CZTERY „NOGI” albo „WBIJAJ GWOZDZIE ZA POMOCĄ MŁOTKA”, wywieszają je w najbrzydszym punkcie miasta, a nikt nawet ramiączkami nie wieszają;

2. Albo nie wierzą dlatego tylko, że napisane. Jeśli napisali na przykład, że „WARSZAWA JEST STOLICA POLSKI”, zaczęła zastanawiać się, gdzie też „oni” przemielili słonce, skoro „próbują społeczeństwu oczy zamulidzić.”

Zaś obydwie wspomniane wyżej reakcje, to po prostu instynktowna samoobrona przed ogłupieniem. Nastąpił taki czas, że wszyscy wszystkich pytają: co robisz, aby było lepiej? Odpowiadam skromnie: pojeżdżam te hasła i hasła. Sytuacja jest przez to wiele nie poprawi, ale jednak zauszcze.

Zabytki z niedawnej przeszłości

sio limanowianie patrzę na Wisłę, chyba raczej rzadko. No, może niektórzy, przejeżdżający autobusem przez most Debnicki w Krakowie! Ale ci najpewniej zastanawiają się, czy też zdają wszystko o mieście zlatatwie. Ja natomiast spacerowałem przed laty nad Wisłą w towarzystwie pewnej młodej damy; potem jednak nastąpiło wydarzenie, którego opisywać tutaj nie będę, no, i musiałem tazić samotnie. Wisła powiedziała, ale nie myślałem wtedy o Polsce, lecz o czyniącym, ale to zupełnie innym — a niestety, nie znalazł się wówczas nikt, kto byłby mi napisał na kawałku dyktu: „NIE KOBIECIE,

interesie utracił ją na pamiątkę jakis tuczasowiec.”

Przedsiębiorstwem, jak wieść nieśmiało, najbardziej chyba ułastowionym oraz zafabrykowanym w naszym pięknym województwie jest Zakład Stalarki Budowlanej w Grybowie. Podobno wodzowie tego zakładu wytrzasnęli skądś pieniądze na humanizację pracy. Jak mianowicie humanizować pracę, obywateli? Najlepiej pomieszczać radosne hasła, gdzie się da.

Ala dajmy już spokój uszczepiliowości i zastanówmy się spokojnie: dlaczego te tablice i transparenty straszą z każdego kąta? Kto żywi przekonanie, że ustajając je